

zdarzenia

KRAKÓW 17 VII 1960 R. ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY NR 29 (166) CENA ŻŁ. 1.50



W krajobrazie miejskim zapanował bezapelacyjnie parasol, bez którego nikt nieodważy się wytknąć nosa z domu...



...NOŚ i przy POGODZIE

Parasol ma swoją bogatą historię i swoje tradycje. Ongiś był oznaką władzy i sam papież rościł sobie prawo do nadawania parasolowych godności. W czasie oficjalnych wystąpień głowy kościoła widzimy zawsze dwa parasole, jeden otwarty a drugi zamknięty. Symbolizują one dwie władze — świecką i duchowną. W herbie państwa kościelnego prócz kluczy piotrowych umieszczono także parasol. Nie oznacza to, by papieża byli wynalazcami parasola podobnie jak król angielski nie wymyślił podwiązki, mimo że nadaje order o takiej nazwie. Parasol wymyślił Chińczycy na 1000 lat przed naszą erą obok prochu, porcelany i papieru. Byli to najpierw parasole słoneczne wielopiętrowe. Reprezentacyjny np. posiadał dwa lub trzy „piętra” a cesarski — nawet cztery. Indyjcy książęta mieli nawet siedmio piętrowe parasole. Również faraonowie i władcy asyryjscy chronili swe głowy przed słonecznym żarem. Na płaskorzeźbach pałacu w Nimrud w okolicy Ninowy oglądać można władcę, który rzucając się w wir walki nie zapomniał przymocować parasola do swego bojowego rydwanu. Nawet samotny Robinzón Cruzoe poczuł się dopiero dobrze, gdy udało mu się skonstruować parasol z koziej skóry.

Ludzie współcześni nie rozstają się z parasolem, zwłaszcza gdy pod nim mogą skryć się dwie osoby. Deszczowe lato tegoroczne stałe nam przypomina chińskie przysłowie: parasol noś i przy pogodzie.



Tegoroczna kapryśna pogoda popsula lipcowe wczasy. Parasol stał się nieodzownym atrybutem wycieczek. Jedynie nad morzem dzięki względnej pogodzie można ograniczyć się do przeciwsłonecznych parasoli.

WAKACJE POD PARASOLEM



Deszczowa pogoda nie zepsuła zabawy młodzieży, która bierze udział w zlocie grunwaldzkim

BĄDZ CZŁOWIEKIEM

Przyjaciół X. opowiadał mi kiedyś, że przeżywa w swej rodzinie konflikt, z którym od kilku lat nie może sobie dać rady. Otóż ma on matkę, kobietę starszą, wychowaną w ciepłarnianych warunkach przedwojennych, wdowę po dyrektorze banku czy coś takiego. Matka ta z konieczności wychowuje mu syna, gdyż jego żona pracuje na odpowiedzialnym stanowisku, jest bardzo zajęta i ma niewiele czasu, by poświęcić się dziecku. Matka jest kobietą inteligentną, doskonałą gospodynią, żyjącą w absolutnej zgodzie z wszystkimi domownikami. Niestety ma jeden wielki minus. Wpaja w młodego chłopca wszystko to, czego sama żądała od życia, ma niezłomne przedwojenne przekonania polityczne i sceptyczne, mówiąc eufemicznie, poglądy na obecną rzeczywistość. Pół biedy, gdyby młody nie chodził do szkoły. Z chwilą wkroczenia w prógi szkoły wpływ matki na syna X zaczął kielkować w sposób zastraszający. Chłopiec uczył się czegoś innego, a w domu uczono go przyjmowania oficjalnej wiedzy z przymrużonym okiem. Z biegiem lat doszło do tego, że dziecko traktowało szkołę jako coś zbędnego i zgola fałszywego, jako przymuszony obowiązek uczenia się kłamstw i propagandy. X tłumaczył mi, że niestety nie może odsunąć dziecka od kobiety, która je wychowała od małego i której zawdzięcza troskliwą nad nim opiekę, dniem i nocą. Nie ma również żadnej możliwości pozbycia się szkodliwego wpływu na syna, gdyż praca nie pozwala mu zająć się dzieckiem. Z konieczności matka ma nadal całkowitą pieczę nad rozwojem umysłowym malca. Kiedy spytałem, czy kiedykolwiek przeprowadził z matką rozmowę na ten temat i czy zażądał od niej kategorycznie zaprzestania takich metod pedagogicznych, odpowiedział, że próbował niejednokrotnie przekonać ją o niebezpieczeństwie, na jakie naraża wnuka, lecz zawsze spotykał się z odmową w sprawie zmiany sposobów wychowawczych. Matka w swoim przekonaniu wybrała jedyną drogę, która ma ocalić dziecko przed nieszczęściem materialistycznego rozumowania. Nie pomogły również, jego zdaniem, ostrzeżenia natury politycznej. Stosunek matki do współczesnych zagadnień politycznych i ekonomicznych był konsekwentnie reakcyjny. Z zapalem dyktowała go wnukowi.

Rozumiem dobrze położenie przyjaciela. Ukochana matka, najbliższa osoba, jaką człowiek ma na świecie i syn, największa miłość, jaka trwa w człowieku przez całe życie. Mała tragedia rodzinna, bez wielkich efektownych scen, bezkrwawa i bez patetycznych gestów. Przyjaciół X jest człowiekiem postępowym, o dużych zasługach społecznych, jego żona ceniona umysł naukowy. Ich zajęcie rzeczywiście prawie wykluczają zajmowanie się dzieckiem. A jednak?

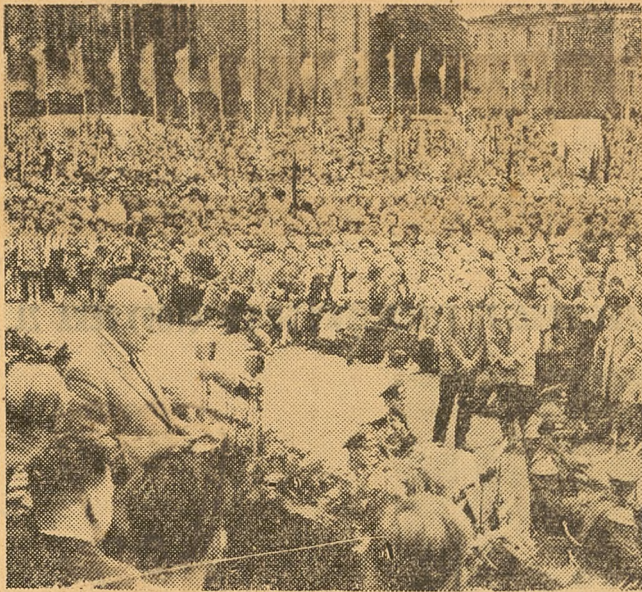
Nie wydaje mi się, aby matka X, była osobą nazbyt inteligentną. Pochodzi wprawdzie z inteligentnego środowiska, lecz pochodzenie nie determinuje jeszcze walorów intelektualnych. Człowieka który nie zdaje sobie sprawy, że wychowanie dziecka w dualizmie moralnym prowadzi w konsekwencji do negacji wszelkich pojęć etycznych, że jest to powolne zabijanie w młodym umyśle każ-

dych wartości, nawet i tych, które ma wpojone, że są istotnie pozytywne — nie można oceniać kryteriami inteligencji. Tego rodzaju psychiczny mord stosowany z premedytacją świadczy raczej o maniactwie, o tępych uporze i niewybrednej miłości ograniczającej się jedynie do biologicznego egoizmu. Ale nie tu miejsce na zastanawianie się nad precyzją słowa „inteligencja”. Wykroczenie moralne, którego dopuszcza się matka X, nie podlega żadnemu sądownictwu. Obywatel ma prawo do wolności przekonań, o ile one oczywiście czynnie nie kolidują z obowiązującym prawem. Matka X. nie zostanie pociągnięta do odpowiedzialności przez nikogo. Zresztą X. nie wystąpiłby z tym przed sądem. Zanadto jest rodzinny, zanadto kocha matkę, za wiele jej zawdzięcza, a poza tym jego ewentualne zarzuty nie znalazłyby drogi na salę sądową. I nie o to idzie. Takich dramatów rodzinnych spotyka się w naszym kraju wiele. Konflikt pokoleń rozgrywa się obecnie i na terenie politycznym.

Znam paru ludzi, którzy dla świętego spokoju przed swoimi rodzicami ukrywają przynależność do organizacji politycznych. Ale to są sprawy mniej ważne. Pryncypialnym zagadnieniem jest wychowanie młodzieży, która w przyszłości ma podjąć stery rządów, stanowić o losie kraju, rozstrzygać o moralności. Szkoła i rodzina stały się w nazbyt wielu wypadkach przeciwstawnymi nurtami edukacji. Odbija się to skutkami, których może jeszcze nie jesteśmy zdolni zaobserwować. Upór starszego pokolenia w przekazywaniu swych przekonań sprzed lat jest napewno uporem ludzi zgorzkniałych, którym wydaje się, że ich życie zatrzymało się na roku 1939, ludzi którym wartości materialne przesłoniły wartości społeczne, wreszcie ludzi, którzy czują się niepotrzebni. Oni to świadomie lub często nieświadomie zaciskają palce na szyjach młodzieży, dokonując bezkrwawego zabójstwa. Szkoła cynizmu, wyniesiona z domu, odbija się niepowetowanymi stratami w późniejszym życiu społecznym narodu.

Kto winien w przypadku, który przytoczyłem? Matka czy jej syn? Obydwoje mają swoje obiektywne usprawiedliwienia. Matce, kobiecie sześćdziesięcioletniej nie przemówią argumenty syna, po prostu nie widzi swej winy. Wnuka wychowała od kolebki, jest jej dumą, wrotną młodością, skarbem, dla którego gotowa oddać resztę życia. A przyjaciel? Praca nie może człowieka aż tak pochłaniać, by całkowicie oddalała go od rodziny, ba, niszczyła ją i zaprzeczała jej istocie, zwłaszcza że warunki materialne nie skłaniają X do harowania po szesnaście godzin na dobę dla kawałka chleba. X urządził się wygodnie, odpowiedzialność za losy dziecka przerzucił na swą matkę, której charakter i przekonania nie są mu obce. Stworzył małą tragedię sam i sam ponosi konsekwencje. Oczywiście najtragiczniejszą postacią jest dwunastoletni synek. Nie znam chłopca, nigdy z nim nie rozmawiałem, lecz wyobrażam sobie, że gdy sam otworzy oczy na świat — będzie już za późno.

Winię X. Rozumiem zarysowującą się alternatywę — miłość do matki i miłość do syna — lecz winię go za wygodnictwo, za brak odważnej decyzji.



W 10-rocznicę Układu Zgorzeleckiego — premier J. Cyrankiewicz przemawia podczas wiecu w Magdeburgu.



Minister Obrony Narodowej gen. broni Marlan Spychalski odwiedził uczestników Złotu Grunwaldzkiego.



W całej Francji odbywają się demonstracje na rzecz pokoju w Algierii.

TELEGRAMY TYGODNIA

● Premier Chruszczow zakończył osmiodniową wizytę w Austrii. W komunikacie końcowym strona radziecka i austriacka wyraziły zadowolenie z rozmów, które doprowadziły do rozszerzenia współpracy gospodarczej.

● Rząd Kuby skierował skargę do Rady Bezpieczeństwa przeciwko dyskryminacji stosowanej przez USA. Wobec zagrożenia Kuby przez USA premier Chruszczow stwierdził, że w przypadku obcej interwencji, ZSRR udzieli Kubie pomocy w jej sprawiedliwej walce.

● Do Polski przybyła delegacja Rady Najwyższej ZSRR z N. N. Organowem — wiceprzewodniczącym Prezydium RN ZSRR na czele.

● We Włoszech odbyły się potężne manifestacje antyfaszystowskie. Największe nasilenie przybrały one w Rzymie i w Palermo. W czasie demonstracji doszło do starć z policją. 10 osób zostało zabitych a wiele rannych. Parlament włoski odbywa debatę nad przebiegiem zajść.

NAJKRÓCEJ I NAJGIEKAWIEJ

W poznańskim ZOO urodziła się zebra.

Załoga kutra „Łosoś” z Ustki złapała 20 kg wazącego jesiotra. Jest to pierwszy jesiotr złowiony od kilkunastu lat.

Witold Karwicki z Warszawy w Lesie Rabańskim znalazł borowika, którego kapelusz miał 36 cm średnicy.

Francuski Luwr wypożyczył Polsce na 2 lata 20 skrzyń rzeźb staroegipskich.

Na Dolnym Śląsku w Tarcholicach archeolodzy odkryli ślady zamieszkałego przez Słżan 1500 lat temu, wielkiego ośrodka hutniczego.

OPTYMISTYCZNA STATYSTYKA

Oto nareszcie możemy odnotować coś pocieszającego, ze sfery zagadnień naszej demografii — po raz pierwszy w latach powojennych przyrost naturalny w Polsce zaczyna wyraźnie maleć. Kiedy bowiem jeszcze w roku 1956 wyrażał się wskaźnikiem 19,1 na 1.000 mieszkańców, w roku 1957 wskaźnikiem 18,1, zaś w roku 1958 — 17,9 to w roku 1959 już tylko 13,8. Największy spadek pod tym względem daje się zauważyć w Warszawie: z 12,7 w roku 1957 do 7,3 w roku 1959 i w Łodzi z 13 w roku 1950 do 5,8 w roku 1959. W Krakowie gdzie po wojnie najwyższy przyrost naturalny przypadł na rok 1958 — 13,4 w roku ubiegłym obniżył się do 9,4.

Ale wciąż mamy jeszcze takie rekordowe województwa jak olsztyńskie czy koszalińskie, gdzie wskaźnik wynosi 22,1 czy zielonogórskie — 20,7.

Czy cyfra 13,8 przyrostu naturalnego na 1.000 mieszkańców jest już dostatecznie niska? A może za niska, jakby przypuszczalnie powiedzieli zwolennicy wielodzietnych rodzin? Otóż nadal jest jeszcze dość wysoka. W porównaniu z większością krajów europejskich, o czym dobitnie świadczy fakt, że w dalszym ciągu wyprzedzamy pod tym względem aż 21 państw. Np. dla NRD wskaźnik ten w roku 1958 wynosił 2,9, dla Austrii i Szwecji — 4,7, dla Belgii — 5, dla Wielkiej Brytanii — 5,1, dla Węgier i NRF — 6,2, dla Francji — 7, dla Czechosłowacji — 8,1 dla Włoch — 8,3, dla Grecji i Jugosławii — 11,4, dla Rumunii — 12,9.

Natomiast nie najlepiej to jeszcze świadczy o naszej służbie zdrowia, że na 1000 urodzeń żywych umiera u nas 68 niemowląt w czym wyprzedzamy 17 państw europejskich. Takich m. in. jak np. Holandia 17 zgonów na 1000 urodzeń, Szwecja — 17,4, Francja — 33,3, Czechosłowacja — 33,5, Wielka Brytania — 23,9, Belgia — 35, NRF — 35,8, NRD — 36,5, Austria — 44,2, ZSRR — 45, Hiszpania — 53,7.

ADAM STANIEK POLITYKA PRZEDWYBORCZE SMACZKI

Z kuchni amerykańskich wyborów prezydenckich, gdzie przystąpiono do pierwszych przygotowań, zaczyna dochodzić woń pierwszych smaczków. Nozdrza chciwie chłoną atmosferę przedwyborczą USA. Godzi się przypisać, że jest to atmosfera ciekawa i niezwykle urozmaicona. Nie brak w niej i samooskarżania i zaufania. Przedwyborczej chełpliwości i może przedwczesnego kociokwiku.

Amerycanie chętnie uważają swój kraj za Rzym naszych czasów. Jedni z nich uważają, że Rzym ten jest potężny, jeśli chodzi o miłośnię, słabszy natomiast — jeśli chodzi o wyobraźnię. Nie mają tu na myśli oczywiście amerykańskiej literatury, która aczkolwiek, swoimi walorami bynajmniej nie dystansuje reszty literatury światowej, to z pewnością jest jedną z najobficiej wyposażonych w wyobraźnię. Nie idzie tu również o wyobraźnię techniczną narodu. Żale, wyrzuty i utyskiwania kierują się raczej ku politykom.

Ze smaczków dochodzących z przedwyborczej kuchni amerykań-

skiej sporo się można dowiedzieć. Przede wszystkim — co Amerykanie uważają za grzechy główne, co zaś za sukcesy swej polityki. Czym się chełpią, czego się wstydzą.

Dość uciążliwy dla amerykańskiej wotroby okazuje się antyamerykanizm, jaki rozpowszechnia się od kilku lat nie tylko w Azji i nie tylko w Afryce ale i w Europie. I to wśród sojuszników — zdawałoby się — na śmierć i życie. Niepokoją też dziwactwa amerykańskiej polityki w rodzaju: Truman i bomba atomowa, Mac Arthura wyprawa koreańska i 38 równoleżnik, republikańskie obietniczki cacanki „uwolnienia” wschodniej Europy.

Choć o „umarłych tylko dobrze”, to przecież wybory amerykańskie mają swe prawa: zaczyna się więc ruszać nawet Dullesa i dalejże analizować jego doktrynę „bezwarunkowego odwetu”. Wskrzesać ją czy też lepiej dać z nią spokój. Wreszcie wkracza na cenzurowane go bliskowschodnia doktryna Eisenhowera, później toczą się dysputy na temat Camp David — gdzie tak rozsądnie zaczął prezydent rozmawiać z Chruszczowem, w końcu rozstrząsa się krach dobrych nadziei spowodowany aferą „U-2” i załamanie się konferencji na szczycie.

Słowem — mają się nad czym poćcić spece od amerykańskich wybo-

row. Są przecież i tacy wyborcy, którzy wręcz twierdzą, że dziwactwa amerykańskiej polityki ostatnich lat kilku a nawet kilkunastu sprawiają wrażenie, że losy świata znajdują się w rękach pijanego kolosa, którego dzikie manewry nie mają żadnego sensu.

Stany Zjednoczone wkraczają w okres konwencji dwu swoich partii politycznych: demokratycznej i republikańskiej. Na nich to wystawieni zostaną kandydaci do pojedynku wyborczego. Amerykanie głowią się, czy będzie to Kennedy, czy Nixon, Johnson, Stevenson, Symington czy Rockefeller? Młody czy stary? Zwycięzca stawka na polityczne doświadczenie czy na werwę młodzieńczą i energię.

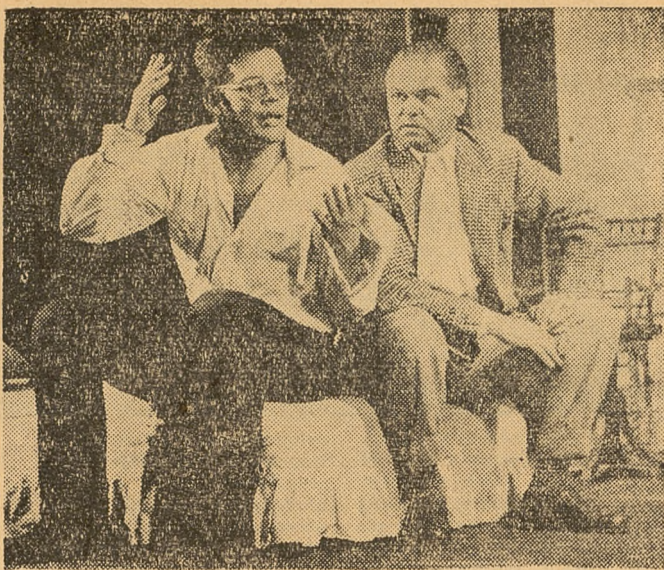
Już dziś głowią się partyjni bossowie i propagandyści: kandydaci mają zagrać w stronę izolacjonizmu a więc zamknięcia się Stanów Zjednoczonych w sobie i ignorowania reszty spraw tego świata, czy też dać upust woli zawiądkiego interwencjonizmu? Czy jeszcze energicznie wystąpić na polityczną arenę świata — a jeśli tak — to jak? Czy też postąpić jak nieśmiały młodzieniec, wstąpić do klasztoru i zapomnieć o niegodziwym świecie. Czy wreszcie dalej pograżać się w błogocian idealizmu i być w pełni przekonanym, że posiada się w reku bo-

skie posłannictwo, które trzeba sponżytkować dla doprowadzenia świata do porządku.

Pot kraszi czoło i niejednen dreszcz trzepoce sercem, gdy się zastanowi: z jakim programem wyjść do wyborców — jakim słowem zyskać sobie miliony głosów. Każdy z nich ma przecież swą wagę na wyborczej szali. Przecież stare wzory wyborczej agitacji straciły poważnie na aktualności. Świat się zmienił jak rigdy od ostatnich wyborów. Kilkanaście narodów uzyskało wolność, dalsze kilkanaście wdycha za neutralnością, sojusznikom urosły ambicje, wobec przeciwników polityka z pozycji siły staje się nieskuteczna, coraz mniej ludzi boi się Boga i Ameryki, coraz więcej wierzy w własne siły, mali zaczynają dorastać, wiele upadać. Co począć?

Wysunięci przez dwie partie amerykańskie kandydaci na prezydenta z pewnością będą to wiedzieć. Nie martwmy się za nich. Wystarczy, że oni będą w rozterce, gdy dojdą do wniosku, że gruszki na wierzbie są nazbyt nędzną strawą i tylko na krótką metę dla społeczeństwa wielkiego mocarstwa. Oby tylko do tego wniosku doszli!

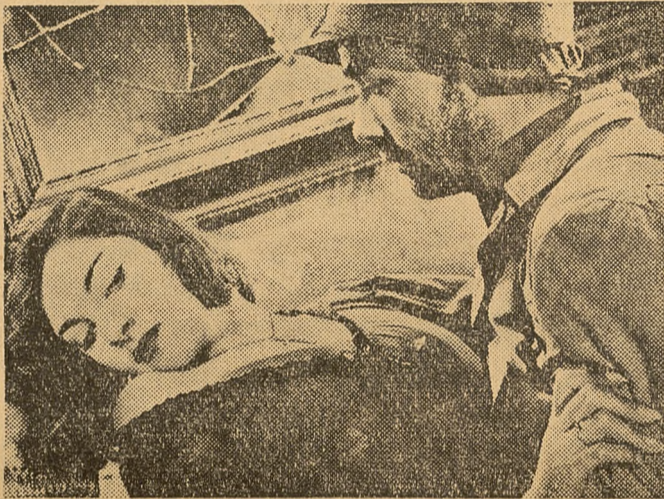
Tymczasem zapachy i smaczki z przedwyborczej kuchni rozchodzą się. Jaka będzie potrawa? Cierpliwości — dowiemy się za parę miesięcy.



GOŚCINNE WYSTĘPY TEATRU WYBRZEŻE W KRAKOWIE

Główną u nas sztuką M. V. Gazzo „Kapelusz pełen deszczu” w wykonaniu Teatru „Wybrzeże” z Gdańska stała się sensacją teatralną. Ogromne powodzenie na I Festiwalu Teatrów Polski Północnej w Toruniu i w czasie gościnnych występów „Wybrzeża” w Pałacu Kultury w Warszawie odnosi ta sztuka zarówno dzięki ciekawemu i aktualnemu problemowi poruszonemu przez Gazzo, jak i doskonałemu wykonaniu. Inscenizatorem, reżyserem i scenografem „Kapelusza pełnego deszczu” jest twórca filmów „Kanal” i „Popiół i diament”, Andrzej Wajda. Rolę narkomana Johnny Popea gra świetny aktor Zbyszek Cybulski. Wraz z nim występują Mirosława Dubrawska, Edmund Fetting, Antoni Fuzakowski, Zdzisław Maklakiewicz, Leon Zasługa i Władysław Kowalski.

Na zdjęciu Zbigniew Cybulski i Antoni Fuzakowski.



„ŻOŁNIERZE”

— produkcja amerykańska tytuł oryginalny „The story of G. J. Joe” — reżyseria William A. Wellman. O filmie tym recenzent „L'ecran francais” Jean Nery pisał: „Korespondencje Ernle Pyle'a, pełne napięcia, subtelności i humoru znalazły doskonałych odwórców w osobach Williama A. Wellmana i Burgessa Meredith, którzy wiernie oddali zawartą w nich prawdę...” „Oto dlaczego bohaterowie tego filmu zdobywają sympatię widzów: to nie ludzie rzucający w wir okropnego wojennego życia, reakcja ich na te warunki jest różna, jednak wszyscy zachowują się jak normalni ludzie. Marzą wszyscy o pokoju, lecz kiedy zachodzi potrzeba walczą doskonale...”

ANNA STROŃSKA

LIRYCZNY AFERZYSTA

Swego czasu w „Dzienniku Polskim” pojawiło się drobne ogłoszenie: „Oświadczam, że nie ponoszę żadnej odpowiedzialności za pieniężne zobowiązania mego ojca — Karola W.”. Anons, jakich wiele, prawda? A właśnie, że nieprawda. Tylko ci, którzy wówczas czytali, nie mogli jeszcze wiedzieć, że mała wzmianka — była koniecznością, wynikłą z wielkiej afery.

Karol W., inżynier, pan o solidnej prezencji i solidnych znajomościach, wcale, zajmujący wraz z córką dwupokojowe mieszkanie w centrum Krakowa — został oskarżony o to, że:

„W Krakowie i w Gdyni, w celu osiągnięcia dla siebie korzyści majątkowej, oferując w podstępny sposób wynajęcie pokoju, którym nie dysponował i żądając równocześnie zapłaty czynszu za rok lub dwa z góry... oraz przedstawiając różne nieprawdziwe szczegóły, dotyczące jego rzekomo ciężkich warunków materialnych, wyłudził...”

I tu rozpoczyna się „niewąska”, bo aż trzydzieści dwa nazwiska wymieniąca, lista oszukanych.

Kalendarzyk wpływów

Po kilka, a nawet kilkanaście osób naraz uważało się za sublokatorów pana Karola. Brał zaliczkę, wyznaczał termin wprowadzenia się i pożegnawszy jednego kandydata, przyjmował następnego.

Jak powiedzieliśmy, pan W. miał budzący zaufanie sposób bycia — a transakcje bynajmniej nie odbywały się w knajpie czy na ulicy, ale w tym samym mieszkaniu, do którego wracała później z pracy nie wiedząca o swym

„zdematerializowaniu” córka bussinesmana...

Pan Karol zawsze żądał uregulowania czynszu z góry: jeśli reflektant aktualnie nie dysponował większą gotówką, ostrzegano go, że czekają inni, w porę wypłacalni...

Tym sposobem pokój WĘDROWAŁ z ręk do rąk, nikt się nie wprowadzał — natomiast każdy płacił. Ile?... Najlepszej odpowiedzi udzieli poniższy kalendarzyk wpływów (do kieszeni pana W.).

25 lipca 1959 — 2 tys. zł.
20 sierpnia — 2 tys. zł.
24 sierpnia — 1800 zł.
29 sierpnia — 3600 zł.
Nadto — w sierpniu — bliźszych dat brak — 15.400 zł.
Wrzesień był słabszy, przyniósł zaledwie 6.200 zł. Natomiast październik — w 10-ciu porcjach — ni mniej ni więcej, tylko 19.300 zł.

W listopadzie — w odstępach przeważnie 2-4-dniowych — pan Karol z zarobił 27.000 zł + złoty zegarek marki „Omega”, o którym jeszcze będzie mowa. W jednym dniu — 20 listopada — pobrał od dwu osób równo 10 tysięcy...

W grudniu — 27.100 zł. I jeszcze w styczniu br., już jako łabędzi śpiew 732 ostatnich złotych.

Czy tylko mieszkanko?...

Szturmujący (po niewczasie) do drzwi mieszkania dłużnicy otworzyli córce pana W. oczy na fakt, że dzieje się coś niedobrego. Wówczas zdecydowała się zamieścić ogłoszenie — nadal zresztą nie wiedząc o b a z i e ojcowskich dochodów. Pan W. nie ograniczał się bowiem do handlu mieszkankami. W wolnych od przyjmowania sublokatorów

W konstytucji NRF obowiązującej od dziesięciu lat artykuł 26 głosi, że czyni prowadzące do naruszenia pokojowego współistnienia narodów lub związane z przygotowaniem do agresywnej wojny są sprzeczne z konstytucją a zatem podlegają karze.

Zycie toczy się jednak obok konstytucji, na którą składają przysięgę wszyscy ministrowie i urzędnicy rządu bońskiego.

„Niemiecki kalendarz dla żołnierzy” wydany przez Schildverlag, którego dyrektorem jest b. kreisleiter NSDAP Helmut Dammerau, stwierdza, że „...tylko historyczne przykłady wielkich czynów mogą zachęcić młodzież do naśladowania i wychowania jej w duchu obowiązującej tradycji”.

Na 220 stronicach „Kalendarza” widnieją podobizny licznych bohaterów będących wzorem do naśladowania. Są to zdjęcia hr von der Holza — organizatora agresji z Finlandii na ZSRR, cesarza Wilhelma II, generała Lettow-Forbecka — bożyszczka kolonializmu niemieckiego, „komunożercy” generała Ludendorfa, morderców Róży Luksemburg i Karola Liebknechta.

„Kalendarz” zamieszcza dokładne adresy związków stowarzyszających byłych żołnierzy hitlerowskiego Wehrmachtu, ogłoszenia kupna i sprzedaży orderów hitlerowskich. Wydaje widokówki „z efektywnymi momentami II wojny światowej”, reklamuje ich powiększenia mogące zdobyć każde mieszkanie. Na równi z reklamą środków przeciwko hemoroidom i łysieniu poleca informatory traktujące o moralności i dobrych obyczajach żołnierzy, spisy oficerów odznaczonych „krzyżem rycerskim”, powieści o tematyce wojennej, biografie, widokówki „oderwanego Wschodu” itd.

Schild-Verlag jest zaledwie jedną z filii olbrzymiego trustu wydawniczego, do którego należą m. in. wydawnictwo „E. S. Mittler i syn”, które brało aktywny udział w przygotowaniach II wojny

światowej oraz „Druffel-Verlag” kierowane obecnie przez Sündermanna, b. szefa prasy hitlerowskiej.

W polityce wydawniczej wspomnianych firm tak Adenauer jak i Strauss nie dopatrują się niczego, co by było sprzeczne z konstytucją.

Kioski gazetowe pełniąją od tzw. literatury narodowej, małych militarystycznych broszurek o milionowych nakładach w cenie 0,5 marki, będących domeną „Pabel-Verlag” z Rastadu. Na ich jaskrawych obwolutach widnieją tytuły: „Szturm Sewastopola”, „Woroneż był ich losem”, „Operacja”, „Marzenia walca” itd. Warto nadmienić, że pierwsza seria tych broszur pojawiła się akurat jesienią 1957 roku, kiedy pierwszy rekruci zapelnili koszary Bundeswehry.

Z broszur tych tryska ślepa nienawiść do Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej.

Charakterystyczną cechą tej literatury jest otwarte, hałaśliwe nawoływanie do „pochodu na Wschód”. Powieść Dwingera „Zgubieni synowie” w zachwycy sposób stawia kropkę nad i: „Musimy się zdobyć na odwagę wojny prewencyjnej — mówi chłodno kpt Osthoff. — Musimy rozbić je (kraje socjalizmu) pojedynczo”.

Literatura „narodowa” NRF czyni ideał i wzór do naśladowania z hitlerowskich oficerów. Oni są zawsze najmądrzejsi, najzdolniejsi, niustannie odnoszą zwycięstwa, wystarczy im jeden granat do zmiżdżenia przeciwnika... Rzecz jasna, o obozach koncentracyjnych i krwawym terrorze w krajach okupowanych — ani słowa.

Pełna nienawiści argumentacja niemieckiego militarysty pod wieloma względami przypomina argumenty sprzed I i II wojny światowej. Może jednak zaistnieć różnica w efekcie końcowym. Podczas gdy I wojna światowa skończyła się dla Niemiec Traktatem Wersalskim, druga — kapitulacja w Berlinie, trzecia — może przynieść kompletne spustoszenie, atomową pustynię...

(mik)

TYSIĄCLECIE

NADBAŁTYCKI GRÓD MIESZKA I

Dwa, zdawałoby się, oderwane fakty świadczą o politycznej i strategicznej myśli Mieszka I. W r. 972 drużyna Mieszka rozbiła pod Cudziną wojska Marchii Wschodniej — Hodona. W roku 980 Mieszko I buduje potężny gród u ujścia Wisły do Bałtyku. Co te dwa fakty mają wspólnego ze sobą?

U UJŚCIA ODRY

Od południa państwo Mieszka I było odgródzone od sąsiadów potężnym pasmem gór karpaccyckich; od zachodu — Odrą i Nysą, których bagniste brzegi stanowiły potężną naturalną zapórę przeciwko potencjalnemu nieprzyjacielowi. Na północy? Tam było morze. Mieszko I spotkał wojska Hodona nie na ziemi stanowiącej jego dziedzictwo, a na świeżo przyłączonych terenach Słowian nadodrzańskich. Hodon widać rozumiał znaczenie zajęcia ujścia Odry przez Mieszka I i starał mu się przeszkodzić.

O tym, że Mieszko I dążył do oparcia mocną ręką swego panowania nad morzem świadczy jeszcze drugi fakt: budowa Gdańska...

Mapa osadnictwa na zachód od dolnej Wisły w okresie od wieku IX do połowy X wieku nie wykazuje istnienia Gdańska. Jest Wyszogród, Świecie, Starogard, Gorzędziej, Sopot, Oksywie. Gdańska — brak! A jednak Gdańsk został — jak zapewne wiele innych grodów — zbudowany około 980 roku, na polecenie Mieszka I. Dowodzi tego fakt zawarty w planie miasta: Gdańsk był grodem, który był jednorazowo zaplanowany i w szybkim tempie zbudowany. Dowiedli tego polscy archeolodzy w latach 1948 — 1960.

W roku 1948 łódzcy archeolodzy zostali zawiadomieni o znalezieniu w wykopach fundamentowych w Gdańsku drewnianych resztek jakiejś budowli. Uczni — z dr Janiną Kamińską i prof. dr Konradem Jażdżewskim na czele — pojechali na zwład. W latach późniejszych dokonali odkryć, które w pełni potwierdzają postawioną na początku artykułu tezę.

Pod warstwą zgliszcz znajdują się szczątki 17 poziomów osadniczych, jakby 17 miast budowanych na szczątkach — każde — poprzedniego. Uczni przyjmują, że domy budowane w miejscach bagnistych z drewna nie chronionego pokrywają wapienną czy glinianą mogą przetrwać przeciętnie 20 — 25 lat. Stąd — rok powstania Gdańska ocenia się na około 980 rok.

O właściwym podziale czasu warstw osadniczych mówią wykopaliska: dwunasty poziom osadniczy wyodrębniono na podstawie denaru arabskiego perełkowego z krzyżem patriarchalnym, które bito w połowie wieku XI; 13 poziom — na podstawie półbrakteatu z Haithabu (miasto w Danii), z dużym podwójnym krzyżem i kilkoma małymi krzyżkami, a także monety bito na początku wieku XI. I tak dalej...

TERENY BAGIENNE

Gród Gdańsk jest zbudowany tak jak Opole, Gniezno, Poznań i wiele innych grodów wzniesionych przed Mieszkiem lub przez niego samego.

Gród był gęsto zabudowany. Niezwykle regularnie, z wyraźnymi widocznymi przejściami między domami, które mają kierunki — południowy-zachód i południowy-wschód. Domy są zbudowane solidnie z bierwion dębowych lub bukowych, a pod niektórymi z poziomu 17 — znajduje się podsypanka z piasku i wbite pale. Pamiętajmy, że wczesnośredniowieczny Gdańsk był zbudowany około 400 metrów od ujścia Raduni do Wisły, kontrolował żeglugę na Wiśle, był zatem wzniesiony na terenach bagiennych. Domy 17 poziomu mają po około 50 m² powierzchni — po dwie izby. Otacza ten zespół mieszkalny potężny wał obronny; jest ich trzy — najstarszy, mieszkowy, jest najpotężniejszy; miał w podstawie 14 metrów, był wysoki na około 10 metrów. Zbudowany z pali dębowych układanych w skrzynie wypełnione ziemią i kamieniami, otoczony był fosą, a z jednej strony — wodami rzeki. Tutaj także — jak sądzą archeolodzy — znajdował się port, zbudowany tak samo obronnie jak sam gród.

GRÓD STRATEGICZNY

Z znalezionych skarbów wiemy, że wzdłuż Wisły wiodła droga handlowa — via mercatorum — którą przebywały karawany kupców żydowskich i arabskich zdążających nad Bałtyk po bursztyn zwany przez Słowian jantarem. Powiązanie tych dwóch faktów — określenia momentu zbudowania grodu i istniejącego tutaj ożywionego handlu — pozwala na przypuszczenie, że Mieszko I zbudował Gdańsk jako gród strategiczny, obronny, mający za zadanie chronić kraj położony w górze Wisły przed niespodziewanymi napaściami Skandynawów.

*

Gdańsk Mieszka I miał powierzchnię około 2,25 hektara, zamieszkiwało w nim około 3—5 tys. ludzi. Dane naukowe uczeni zebrali dotychczas w sześciu grubych tomach; łącznie ma być ich kilkanaście. Nie dziwcie się zatem, że reporter nie wszystko mógł opisać i odnotował tylko najważniejsze fakty, usiłował udowodnić tylko największą sensację dotyczącą Gdańska: to, że wznosił go Mieszko I, ten, który panował na Bałtyku od ujścia Odry do dziedziny pogańskich Prusów...

ANDRZEJ CZARSKI

STYGMATYZM W ŚWIETLE NAUKI

Jednym z najbardziej znanych stygmatyków jest żyjący do dziś O. Pio. Urodzony w roku 1887 we włoskiej wiosce Pietrelcina, wstąpił do zakonu OO. Kapucynów i w roku 1910 otrzymał święcenia kapłańskie. W pięć lat potem zaczął odczuwać bóle w dłoniach. W roku 1918, po mszy, modlił się na chórze. Nagle zakonnicy usłyszeli jego krzyk. Znalaziono go nieprzytomnego. Z pięciu ran płynęła krew. Gdy władze zakonne stwierdziły, że nie ma wytłumaczenia powstania ran, zabroniono mu kaznodziejstwa. Nie chciano, aby się stał obiektem nie logicznej, historycznej dewocji. Od tego czasu O. Pio stale nosi rękawiczki, które zdejmuje tylko do odprawiania mszy.

W starożytnym Egipcie zbiegli niewolnicy chronili się w świątyni Herkulesa. Jeżeli w czasie ich pobytu tam ukazywały się na ich ciele stygmata boga Herkulesa, dawano im wolność.

Pierwszą wzmiankę o stygmatach mamy w Nowym Testamentie w liście Pawła do mieszkańców Galaty: „...Dlatego żaden człowiek mi nie zakłada spokoju, gdyż noszę na moim ciele znaki Pana Jezusa”...

W ubiegłym wieku profesor uniwersytetu dr Ferdinand Lefebvre badał belgijską dziewczynkę Louise Lateau. Co piątek z jej dłoni, stóp i boku sączyła się krew. Lefebvre stwierdził, że najpierw tworzyły się pęcherze, które następnie pękały i wypływało z nich kilka kropel krwi. Gdy Lefebvre zrobił sztucznie kilka pęcherzy, wypłynęła z nich tylko woda.

Szereg innych wypadków dał ciekawe światło na to zagadnienie. Stygmata tworzyły się zwykle nieregularnie i zawsze były takie, jak w wyobraźni danego stygmatyka wyobrażały rany Chrystusa.

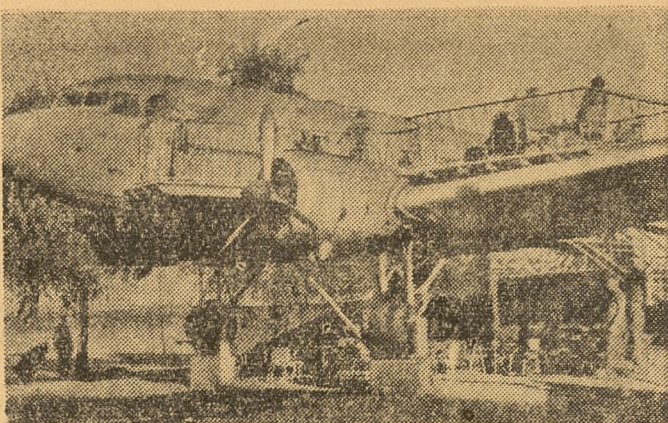
Naukowcy twierdzą, że

krzyżowanie praktykowane przez Rzymian nie wyglądało tak, jak my sobie je wyobrażamy. Gwoździe nie były wbijane w dłonie, lecz w przeguby rąk, pomiędzy kości. Jeżeli faktycznie tak było i jeżeli stygmata mają być znakami „boskimi”, logicznie biorąc powinny ukazywać się nie na dłoniach, lecz na przegubach. Jednak nie „cud” jest powodem ukazywania się stygmatów w tym a nie innym miejscu. Tym powodem jest konwencjonalny obraz Chrystusa na krzyżu, który to obraz służy za przykład.

Dobrze wiadomo, że osoba zahipnotyzowana może pod wpływem hipnotyzyera otrzymać na ciele sińce a nawet otwarte rany. W roku 1933 jeden z lekarzy potrafił drogą sugestii wywołać stygmata na ciele nie wierzącej dziewczyny. Niektórzy z hipnotyzerów występujących na estradach potrafią osobom hipnotyzowanym wmówić oparzenia. Mało tego, potrafią nawet w czasie takiego seansu przez pocieranie ciała kawałkiem lodu wywołać bąbel. Dr S. Schindler podkreśla, że w wielu wypadkach hysterii tworzą się na ciele sińce i miejsca podbiegłe krwią i to bez żadnych zewnętrznych bodźców.

Nowoczesna medycyna ma do czynienia z szerokim wachlarzem dolegliwości, począwszy od wrzodu żołądka aż do astmy, które mają swe początki w zaburzeniach psychicznych. Chorzy pod wpływem autosugestii mają faktyczne objawy chorobowe. Jest wiele wspólnego między tymi chorobami a stygmatakami.

Większość fizjologów woli obecnie naukowe wytłumaczenie stygmatyzmu niż tłumaczenie religijne.



POMYSŁOWY BAR
Na święty pomysł wpadł fiński mechanik samolotowy Erki Skogster. Zakupił on z demobilu fiński samolot wojskowy i urządził go na bar

mleczny dla dzieci. Bar ten z wiadomych względów cieszy się olbrzymim powodzeniem. Dzięki specjalnemu ogrzewaniu czynny jest on również w zimie.

ŚWIAT W OBRAZACH



Rzadki przychówek w opolskim ZOO — mały niedźwiadek himalajski „Maga” ze swą opiekunką.

NIEWINNI KOCHANKOWIE

Miłość uważana bywa powszechnie za zatrudnienie nadające się wyłącznie dla dorosłych. Istotnie, jest to zajęcie nader delikatne i niedoświadczeni mogą łatwo coś w tej materii popsuć, podobnie jak dzieci, którym dałoby się do ręki misterne i skomplikowane narzędzie. Toteż wszystkie romanse jakie znamy w literaturze, są romansami ludzi dojrzałych, co — nawiasem mówiąc — wcale jeszcze nie oznacza, aby w ich mechanizmie nic się nigdy nie psuło.

Tym ciekawsze zatem winno być stwierdzenie, że istnieje w literaturze jedyny bodaj jaki znamy romans dzieci. Zakończony oczywiście — zgodnie z tym co było powiedziane — smutno, pozwala jednak na dodatkowe refleksje. Być może bohaterowie tego romansu mogliby być szczęśliwi, jak dzieci, które są szczęśliwe, gdy je zostawić same z ich zabawkami. Najgorzej, kiedy starzy zaczynają się wtrącać do zabawy.

Dla oceny tego romansu ważny jest zapewne również czas, w którym dzieje jego zostały spisane. Były to lata 1780-te we Francji. Wszystko gotowało się do wielkiej rewolucji: społecznej, obyczajowej, artystycznej. Urodzony w 1737 r., syn ubogiego pocztmistrza, Bernardin de Saint-Pierre podróżuje po całej Europie i marzy — jak wielu innych wówczas — o nowym społeczeństwie lepszych, wolnych ludzi. (Na razie w tym starym społeczeństwie zadowolony jest tylko z młodych kobiet, których kocha bardzo dużo m. in. carycę Katarzynę II czy polską hrabinę Radziwiłł). Z tych marzeń o idealnym świecie zrodziła się książeczka, która choć nieduża rozmiarami rozentuzjasmowała z miejsca wszystkich czytelników, zdobywając autorowi ogromną sławę.

Książeczka ta opowiada historię dwojga dzieci, które wychowywały się od urodzenia razem na wyspie. Chłopiec miał na imię Paweł, dziewczynka — Wirginia. Kiedy oboje dochodzili do dwunastego roku życia, zaczęli sobie zwolna, choć jeszcze niezbyt jasno uświadamiać, że kochają się nawzajem. Była to miłość jeszcze niewinna, ale namiętna i niezwykłe głęboka. Każda, najkrótsza nawet rozłąka stawała się dla obojga straszliwym ciosem.

Tymczasem okrutne społeczeństwo, które ponad czyste uczucie stawiało względy majątkowe i stanowe, rozdzieliła parę dzieci. Rodzina wzywa dziewczynkę do Francji, aby tam w przyszłości wydać ją bogato za mąż. Chłopiec zrozpaczony zostaje sam, ale ani na moment nie zapomina o swej młodocianej ukochanej (podobnie jak ona o nim), wierząc niezachwianie w rychłe połączenie się. Istotnie, Wirginia pamiętając wciąż o dawnej swobodzie, jaką dzieliła z ukochanym rówieśnikiem na wyspie — nie może znieść obłądy i niesprawiedliwości panujących w cywilizowanej Europie. Toteż narażając się na zerwanie z rodziną odrzuca wszystkie propozycje i — wsiada na okręt, aby powrócić na wyspę.

Ale panuje właśnie niebezpieczny okres burz i okrutnie dobijając do wyspy rozbił się. Paweł z brzegu widzi swoją ukochaną na pokładzie lecz szalejący żywioł nie pozwala mu do niej dobrać. Wirginia może się jeszcze ocalić. Wystarczyłoby, aby zrzuciła sukienkę i popłynęła z falą do brzegu...

Cóż, kiedy niewinność staje się przyczyną zguby. Wstyd nie pozwala zdjąć szat. Kochanek patrzy przecież z brzegu! I gdy wkrótce potem fala pochłania okręt, dziewczyna idąc wraz z nim na dno przede wszystkim przytrzymuje pilnie ręką sukienkę, dbając do ostatka tylko o to, aby niczego nie odsłonić. To jej się istotnie udało. Tyle, że wskutek tego utonąła. Nieszczęsny Paweł nie przebolewał straty. Zmarł w dwa miesiące później „nie przestając powtarzać jej imienia”.

Ta miłość dwojga dzieci zakończona tak dziecinnie wydaje nam się dziś bardzo naiwna i sentymentalna. Ale właśnie owa czułość jest najwłaściwiejszym rodzajem protestu przeciw panującemu barbarzyństwu obyczajów, oznacza obudzenie się po raz pierwszy indywidualnego uczucia, zapowiada nadejście romantyzmu i rewolucji mieszczańskiej. „Paweł i Wirginia Bernardin de Saint-Pierre stała się jakby ewangelią nowych czasów i nowej literatury.

Dzisiaj — po 180 latach — o dzieciach nie pisze się już w ten sposób. Co więcej, dzisiaj dzieci piszą samo o sobie. Młodzieńcze panienki nie przytrzymują dziś wstydliwie rąbek swoich sukienek, aby przypadkiem nie obnażyć kolan, ale zamiast tego wydają (jak panna Sagan we Francji, panna Moore w Stanach Zjednoczonych, panna Delaney w Irlandii) powieści i dramaty, w których jest mowa o wszystkim innym raczej niż przytrzymywaniu sukienek. I wydaje się — cokolwiek by ktoś chciał temu zarzucić — że tak jest mim wszystko dużo szczerzej i lepiej. Przynajmniej mało kto tonie z podobnie błędnego powodu.

ANNA STRONSKA

LIRYCZNY AFERZYSTA

(Dokończenie ze str. 3)

odtąd coraz to regularniejsze wizyty. „...powiedział mi, że jest mu bardzo przykro i smutno bo jest sam i nie ma gdzie się podziąć na święcie...” — brzmiało pierwsze z wynurzeń, odtworzonych później w okolicznościach innej nastrojowych, bo u prokuratora.

Efektom następnej herbatki były już oświadczenia.

„...wyznał mi, że ma poważne zamiary, ale ma też długi, które go strasznie gnębią... Przez dyskrecję nie pytałam o szczegóły. Obiecywał zamiary urzeczywistnić, kiedy już sobie ułoży życie, prosił jednak abym przedwcześnie nikomu się nie zwierzała...”.

Konkury zakończyły się pożyczką w sumie dwu tysięcy złotych. Tym razem — bez rewersu, wszak zakochani rachunków nie potrzebują. Zapewne tylko przypadek sprawił, że nie doszło gni do mariażu, ani do zwrotu pieniędzy.

Trudno zarzucić panu Karolowi, aby powtarzał się w metodach łowieckich. Kazimierz S. poznał w zakładzie rzemieślniczym, dokąd przyszedł naprawić sobie okulary: z okularów rozmowa przeskokowała na kłopoty mieszkaniowe, okazało się, że Kazimierz S. sam byłby zainteresowany w uzyskaniu pokoju. Epilog wiadomy...

Izabella K., poszukując sublokatorskiego pomieszczenia, dała anons do gazety. Pierwszym, który odpowiedział na ogłoszenie, był Karol W. Identycz-

nych ofert zalał kilkanaście... Pobrał zaliczki, powyznaczał terminy wczesne, potem późniejsze, potem dalkiem późne...

Kiedy reflektanci zaczęli się niecierpliwie — zaczęli też nie zastawać pana Karola w domu. Odchodzili z kwitkiem — i to z kwitkiem dosłownym: pan W. zawsze wystawiał pokwitowania. Czyste, staranne, z tytułem inżyniera w podpisie...

Kwitki zostały, ale pieniądze nie wróca.

Grunt, to firma

Nie bez kozery mówi się, że Kraków kocha tytuły. Gdyby przed nazwiskiem pana Karola nie figurował ów magiczny skrót „inż.”, to kto wie — może lokatorzy in spe zerknęliby przynajmniej na spis lokatorów rzeczywistych?... Gdyby nie bezgraniczne zaufanie do tytułów — kto wie, może zanepokoila by ich przeszłość naszego bohatera...

W 1955 r. Sąd Powiatowy dla miasta Krakowa skazał pana Karola na karę dwu lat więzienia za podobne praktyki. Część kary „obciąła” amnestia: businessman wyszedł, odpoczął i zaczął zarabiać... na nowy akt oskarżenia.

Nie chcielibyśmy, aby obraz pana Karola wypadł zbyt jednostronnie. Jak się zaraz okaże, nawet w duszy człowieka interesu drzemie czasem liryzm najczystszej wody...

Oto list (mniejsza o adresata) dołączony do akt sprawy:

„...upojony powrotem w czerwcu br. — a mianowicie wygraną w Toto-Lotka — postanowiłem grać dalej... grałem co tydzień i przegrywałem... szła mnie ogarnąć... nie mając już sił

— załamany nerwowo — nie znajduję innego wyjścia — jak zapłacenie najwyższej stawki. Muszę odejść. Szantaż — i groźby złych ludzi pozbały mnie całkowicie sił do dalszej walki o byt”.

„Moim wrogom przebaczam”

Czyżby nasz dzielny przedsiębiorca zamierzał się rozstać z tym padłem leż?... Nie podobnego. Owa „najwyższa stawka do zapłacenia” w interpretacji pana Karola odbiegła nieco od wzorów, którymi u Goethego zakończył się cierpienia młodego Werthera. Pan Karol — romantyk skromniejszego kalibru — wyjaśnił na zakończenie wstrząsającego listu:

„Wyjeżdżam daleko od domu, by zgubić ślady za sobą. Moim wrogom przebaczam”.

Pech chciał, że wrogowie nie przebaczyli — i w obliczu prokuratora, a z kolei Sądu, dali brutalne świadectwo prawdziwe. Podróż w nieznane zakończyła się przesiadką na ławę oskarżonych. Jakże prozaiczny wyrok brzmiał: kara łączna pięciu lat więzienia.

Ponieważ nie jesteśmy pewni, czy znajdują się dobrowolnie — i wypłacalni — sublokatorzy celi, przydzielonej panu inżynierowi, istnieje obawa, iż dochody Toto-Lotka w najbliższych pięciu latach odrobnie zmaleją. Jedyne pociechę stanowi więc nadzieja, iż ewentualni naśladowcy businessmana nie będą już znajdować tak licznych i skwapliwych klientów. Lepiej pamiętać stare, mądre przysłowie o kupowaniu kota w worku i chłodniej oceniać OKAZJE; aniżeli stanąć w sytuacji owych 32 osób, które nigdy już nie odzyskają swoich zainwestowanych w OKAZJE pieniędzy.

W MUNDURACH GESTAPO...

FIGUŁKI ANTYRAKOWE
„Zdarzenia” donosiły niedawno obszerniej o doustnie stosowanym środku antykoncepcyjnym dla kobiet — enovidzie. Jak twierdzi jego badacz obroni on nie tylko przed zapłodnieniem, ale również przed rakiem piersi.

POCHLEBCA
Z przemówienia zwolennika Stevenona jako prezydenta USA: „Głosowałem za Stevenonem 2 razy i tak się szczęśli-

FAKTY PLOTKI

wie składa, że będę mógł głosować po raz trzeci”.

KITT ZAMĘŻNA
Pieśniarka murzyńska Ertha Kitt, licząca 30 lat wyszła przed miesiącem za mąż za 30-letniego „białego” — Williama Mac Donalda, handlarza nieruchomościami.

WARSZAWSKIE OSTATNIE

We wsiach i małych miasteczkach naszego kraju wzrosła ostatnio liczba bibliotek publicznych o 156. Najbardziej rozwinęły się księgozbiory w województwach: białostockim i zielonogórskim. Najstabiliej w warszawskim.

1 listopada 1944 roku okupanci pilniej niż zwykle obstawili granatową policją te miejsca, na które rzucano wiązanki biało-czerwonych kwiatów. Składano je na Rynku Gł. — w miejscu, gdzie stał pomnik Mickiewicza, na placu Matejki — na Grobie Nieznanego Żołnierza, na miejscu zniszczonego przez hitlerowców grunwaldzkiego pomnika, na miejscach publicznych straceń... Nie pomagała obstawa i czujny wzrok policji. Niewidzialna ręka kładła kwiaty od nowa...

Idę na spotkanie z patrolem. Czekają nas kolejni akcja.

Przed kilku dniami przeglądaliśmy listę agentów i konfidentów gestapo, na których zapadł wyrok śmierci, wydany przez Sąd Polski Podziemnej. Dwoje z nich winno być dzisiaj zlikwidowanych. Chodziło o małżeństwo Zarebów, Stanisława i Stanisławę. Nazwiska te były mi dobrze znane... Już od roku ciążyło na nich orzeczenie sądu. Jednemu z patroli dywersji, który usiłował przed sześciu miesiącami wykonać na nich wyrok, akcja nie powiodła się. Zarebowie zmienili mieszkanie, przenosząc się na ulicę Orawską. Sam Zareba był tak ostrożny i tchórzliwy, że nawet strzelał do ludzi, którzy zniechęcał weszli mu w drogę. Trzeba przyznać, że jak na agenta strzelał dobrze i celnie. Wykonanie wyroku nie było zatem proste. Związka w Krakowie. Front był gdzieś w okolicach Jasła. Przez miasto przejeżdżały stale transporty wojskowe, po ulicach gęsto krążyły patrole żandarmerii. Poruszanie się po mieście z bronią było ryzykowne.

Dlatego też Orsza i ja ubraliśmy mundury oficerów gestapo, dobierając sobie dwu ludzi w cywilu. Oprócz pistoletów wzięliśmy ze sobą automat typu „Mas”, który Orsza zarzucił sobie na ramię. Ta właśnie broń miała przeciąć niecną działalność znanego konfidenta. Idąc o zmroku ulicami Krakowa

wyglądaliśmy imponująco — naturalnie dla mijających nas Niemców... „Heilując” skwapliwie oddawali należne honory oficerom gestapo w naszych osobach...

Do drzwi agenta pukamy ostro. Otwierają się i staje w nich kobieta — Zarebowa. Wchodzimy do środka. Pech. Stanisława Zareba nie ma w domu. W czasie rozmowy dowiadujemy się, że został on wysłany „przez nas” do Miechowa. Przez nas, to znaczy przez gestapo, bo za takich uchodzimy. Pomimo to, że Zarebowa jest również skazana na karę śmierci — wyrok postanowiłem odroczyć, aby nie ploszył jej męża. Rozmawiając z nami Zarebowa wyraziła zdziwienie z powodu naszego przybycia. Oświadczyłem jej ostro, że nie pracują teraz już tak aktywnie jak poprzednio. Zaprzeczyła stanowczo i chcąc nas przekonać, pokazała nam listę Polaków, działaczy z Miechowa. Właśnie wybierała się do Alberta na Pomorską, by pobrać karty żywnościowe i doręczyć gestapo nowych trzydzieści nazwisk do rozpracowania. Ta lista zadecydowała. W zacisznym mieszkaniu konfidenta rozległy się trzy strzały...

Po wyjściu na ulicę dostrzegamy czterech ludzi stojących w odległości około 100 metrów. Zbliżamy się do nich z cichą nadzieją, że może właśnie wśród nich spotkamy poszukiwanego agenta. Podchodzimy, gdy nagle z odległości 5 metrów ostrzelano nas z pistoletów. Odpowiadamy ogniem, Orsza serią z automatu. W czasie tej strzelaniny 2 ludzi z patrolu przerażonych nie spodziewanym atakiem — ucieka. Tych czterech — po naszym ogniu wycofują się i przepada w ciemności. Na ulicy pozostaje z rannym w rękę Orszą. Szybko zdejmuję z ramion rannego kolegę automat i ładuję nowy magazynek. Kto wie, co nas czeka? I w tym momencie wraca jeden z moich

ludzi, ale tak przerażony, że chce oddać broń.

Ulica pusta. Nic nam na razie nie grozi. Ale co za chwilę? Strzały rozległy się przeciw głośnym echem. Biorę rannego Orszę pod rękę i powoli odchodzimy. Byle dalej od miejsca wypadku. Na rogu ulicy Długosza spotykamy hitlerowski patrol idący w kierunku, gdzie niedawno rozległy się strzały. Oglądam się. Tych patroli jest więcej. W ciemności dudnią ich kroki. Całe szczęście, że biorą nas za prawdziwych gestapowców, którzy z trudem prowadzą swego pijanego kolegę z jakiejś libacji. Orsza na wpuł przytomny z bólu jęczy: „Mamusi... cholera... jak boli!”. Przy mijaniu patroli uspokajam go wymownym „stul pysk”! Byle dobrnąć do budynku Straży Pożarnej przy ulicy Zamojskiego, gdzie znajomi działacze GL PPS na pewno udzieli mi pomocy.

Po dotarciu na miejsce zażądałem natychmiast wozu. Oświadczone mi, że mają tylko woź alarмовy, kazałem go więc podstawić. Ale dyżurny podoficer sprzeciwił się; może to uczynić tylko za zgodą swojej centrali. Zdenerwowany tym do ostateczności, mimo woli zdjąłem czapkę i... wtedy mój rozmówca krzyknął: „To Pan”? Poznał mnie. Myślałem że ma do czynienia z gestapowcem. Teraz dostałem wóz bez oporu, w dodatku zaufanego kierowcę, kolegę z ławy szkolnej. Z Orszą było coraz gorzej. Siabł. A ja nie miałem nawet czasu, by mu należycie założyć opatrunek. Wyjechaliśmy ze strażnicy wyjął syrena alarмовą i dopiero po przejechaniu mostu, na ulicy Starowiślniej wyjączyliśmy się.

Po drodze zastanawiałem się, gdzie zawieźć rannego kolegę, któremu trzeba było udzielić natychmiastowej pomocy lekarskiej. Przypomniałem sobie, że przy ulicy Wrzesińskiej mieszka znajomy lekarz dr Bolesław Stein.* Dziwna to była załoga wozu straży po-

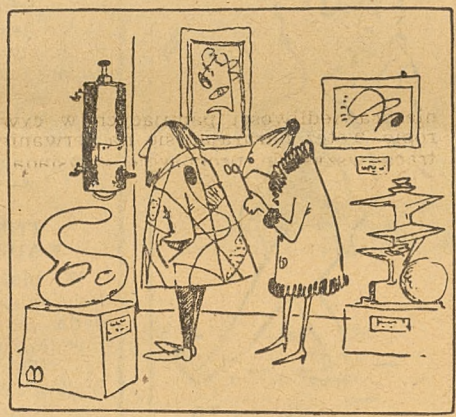
zarnej, który zatrzymał się na rogu ulicy Dietla i Wrzesińskiej. Wyszedł bowiem z niego dwóch oficerów gestapo, z których jeden ledwo się trzymał na nogach i głośno jęczał po polsku. Powoli doprowadziłem rannego do bramy, oparłem go o mur, a sam wyskoczyłem na I piętro, do mieszkania doktora.

Proszę doktora o pomoc dla rannego kolegi. Ku mojemu zdumieniu lekarz odsyła mnie do szpitala wojskowego. Drugi raz tego wieczora zdejmuję czapkę gestapowca z głowy i drugi raz działo to jak zaklęcie. Doktor mnie poznaje. W jednej sekundzie zbiegamy do bramy i zabieramy rannego. Okazało się, że kula strzaskała Orszę kość i uszkodziła staw łokciowy. Pierwsza pomoc, kilka wzmacniających i uspokajających zastrzyków — zrobiły swoje. Orsza uspokoił się, a my z doktorem zaczęliśmy się zastanawiać, co dalej robić. Pomoc chirurga była nieodzowna. I znowu dr Stein przyszedł z pomocą. Udał się do znajomego chirurga doc. dr Jana Kowalczyka**. I ten przyszedł natychmiast, pomimo, że narażał się na wielkie niebezpieczeństwo. Przypuszczał bowiem, że po powrocie żony z obozu koncentracyjnego był pod obserwacją gestapo. Po zbadaniu Orszy i założeniu opatrunków przewiozłem towarzysza do kliniki przy ulicy Zielonej. Tam dr Kowalczyk osobiście operował rannego serdecznie się nim opiekował aż do wyzdrowienia. Naturalnie w głębokiej konspiracji.

Dopiero później dowiedziałem się, że Orszę zranili żołnierze jednego z naszych batalionów. Chłopcy ci, chcąc zdobyć broń polowali na gestapowców, a ja z Orszą zostaliśmy potraktowani jako jedni z nich. Byliśmy przeciw przebrani. Mieliliśmy jednak dużo szczęścia. Sprawa mogłaby się zakończyć dla obu stron bardziej tragicznie. Planowali bowiem zastrzelić nas od tyłu i zabrać nam broń. W rezultacie tej strzelaniny Orsza został ranny a jeden z tamtych zmarł z odniesionych ran.

JAN KOWALKOWSKI

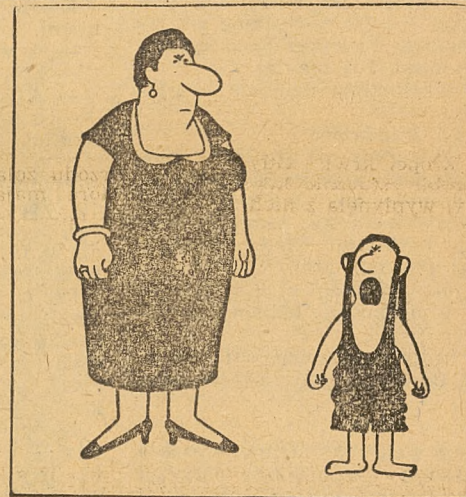
* Obecny kierownik Wydziału Zdrowia Prez. RN m. Krakowa.
** Po okupacji prof. Akademii Medycznej w Krakowie. Zmarł w r. 1953.



Podwójna pomyłka.

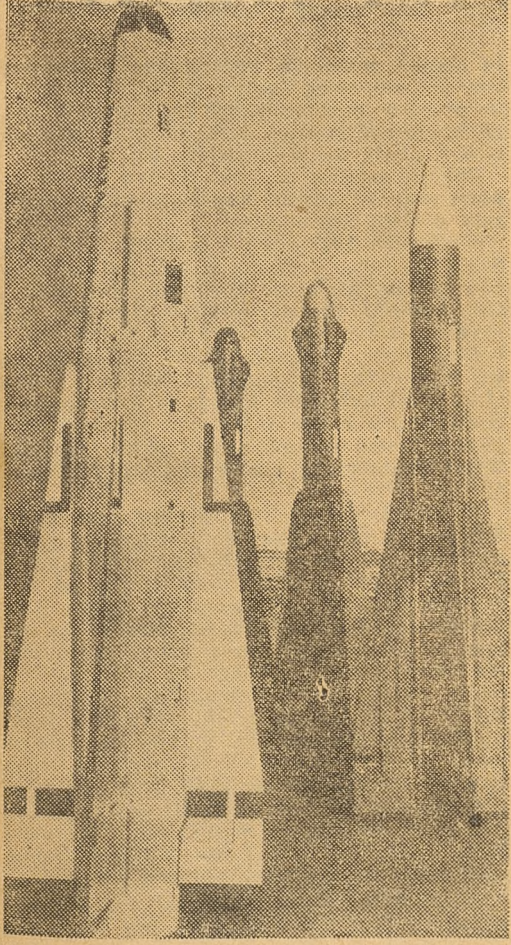


Tatusiu, ciekawym czy on to znajdzie...



To ciągle jeszcze za duże...

AMERYKAŃSKIE WOJSKA W EUROPIE



Artykuł pod tym tytułem ukazał się w czerwcowym numerze radzieckiego miesięcznika Mirowaja Ekonomika i Międzynarodnyje Otnoszenija. Poniżej podajemy jego fragmenty.

Podstawą amerykańskich wojsk lądowych w Europie zachodniej jest VII armia polowa. Liczy ona, według danych amerykańskich, 250 tys. żołnierzy i oficerów, rozlokowanych w 16 głównych punktach skupienia (Anglia, NRF, Berlin zach. i Włochy). W skład jej wchodzi dwa sztaby korpusów armii, pięć dywizji, w tym trzy piechoty i dwie pancerne, dwie grupy artylerii polowej, sterowanych pocisków rakietowych „Redstone”, znaczna liczba dywizjonów niesterowanych pocisków rakietowych „Honest John” sterowanych pocisków rakietowych „Corporal”, a także jednostki artylerii atomowej, 280-milimetrowe działa. Poza tym armii podlegają liczne jednostki pancerne, artylerii, saperki i inne jednostki specjalne, stanowiące środki wsparcia. Główną siłę ogniową amerykańskich wojsk w zachodniej Europie stanowią atomowe środki walki. Formacje armii polowej otrzymały jako pierwsze z wojsk lądowych broń jądrową. Właśnie do zachodniej Europy

została w pierwszym rzędzie skierowana broń jądrowa i środki transportujące ją do celu.

Głównym rejonem dyslokacji amerykańskich wojsk lądowych w zachodniej Europie jest NRF. Tereny zachodniej Europy stały się dla Amerykanów swego rodzaju doświadczalnym poligonem, gdzie nieprzerwanie sprawdza się nową organizację wojsk, sposoby prowadzenia działań wojskowych, technikę bojową, technikę dowodzenia wojskami. W dyspozycji amerykańskich wojsk lądowych w Europie znajdują się samoloty 17 armii powietrznej Stanów Zjednoczonych. Od 1957 r. na terenie frankistowskiej Hiszpanii stacjonuje sztab i oddziały 16 armii powietrznej, podporządkowanej bezpośrednio strategicznemu dowództwu wojsk lotniczych Stanów Zjednoczonych. Inna duża formacja lotnicza — III armia powietrzna — opiera się o sieć lotnisk w Anglii. Ogółem według danych amerykańskiej prasy obecnie w Europie zachodniej stacjonuje stale 20 „skrzydeł” (100 tys. osób), posiadających 32 główne bazy (Hiszpania, Francja, Anglia, NRF i Berlin zachodni). Do formacji tych włączono tysiąc samolotów odrzutowych — ciężkie bombowce na terenie Hiszpanii i Anglii, myśliwce i bombowce w NRF, samoloty przechwytyjące i inne samoloty bojowe we Francji.

Amykańską flotę morską w Europie zachodniej reprezentuje poważna operacyjna formacja marynarki wojennej, VI flota marynarki USA, która liczy 50 okrętów i 25 tys. załog.

Ogólna liczba amerykańskich wojsk w zachodniej Europie wynosi ponad 350—365 tysięcy żołnierzy i oficerów, z czego w Anglii stacjonuje 50 tys., we Włoszech — 10 tys., w Hiszpanii — 3 tys. Na terenie NRF znajduje się 225 tys. żołnierzy i oficerów.

Amykańskie dowództwo kładzie główny nacisk na stworzenie licznej zachodniemieckiej armii lądowej, która według danych „Deutsche Soldatenzeitung” liczyła w końcu 1959 r. 137 tys. ludzi. W skład jej wchodzi 9 dywizji, w tej liczbie: 3 dywizje pancerne, 4 dywizje piechoty, 1 dywizja piechoty górskiej, 1 dywizja desantu lotniczego. Ogólna liczebność Bundeswehry zostanie doprowadzona do 350 tys. ludzi, w tym armia lądowa będzie liczyła 215 tys. ludzi, lotnictwo — 80 tys. ludzi, marynarka — 30 tys. ludzi, formacje pomocnicze — 25 tys. ludzi.

Wraz z powstaniem nowych formacji Bundeswehry nieustannie reorganizowana zostaje wyposażona w amerykańską broń atomową.

Bundeswehra wraz z amerykańską VII armią polową sta-

nowi obecnie podstawę sił zbrojnych NATO w zachodniej Europie. Ogólna liczba zachodniemieckich przedstawicieli w sztabach NATO wynosi 1150 ludzi.

Dla stworzenia rezerwy oddziałów specjalnych przewiduje się dalsze dostawy broni atomowej ze Stanów Zjednoczonych. Jeśli, jak oświadczył gen. Norstad, w 1958 r. w Europie było rozlokowanych 30 dywizjonów sterowanych pocisków rakietowych, to w 1963 r. ich liczba ulegnie zwiększeniu do 100. W 1965 r. broń jądrowa ma stać się bronią „zwykłą” wojsk NATO.

W związku z wyposażeniem wojsk NATO w taktyczną broń atomową dowództwo amerykańskie utworzyło ośrodki ćwiczebne i szkoły dla żołnierzy z krajów zachodnioeuropejskich. W jednej z nich, artylerijsko-technicznej szkole sterowanych pocisków rakietowych przy arsenale w Redstone w Gatsville (Alabama), szkółą się wielosobowe grupy żołnierzy armii NRF, Włoch, Norwegii, Danii i Holandii. Przed powrotem do kraju zostają skierowani do fortu Blec (Teksas), gdzie odbywają ostre strzelanie.

CZARNOMORSKA PRZYGODA

Obciążony sześciuosobowym ładunkiem ZIM mocno trzymając się szosy — śmignął wśród zieleni na kolejnym karkołomnym zakręcie.

— Czterydzieci, po rosyjsku Pała'gora — szept z tylnego siedzenia. Dyskretny informator.

— Wasz narodowy poeta, Adam Mickiewicz... — tu Kostia odwraca się z przedniego siedzenia, lecz przerywam mu niegrzecznie.

— Wiem — i stawiam, zupełnie niepotrzebnie, kropkę nad „i”: — Sonety Krymskie.

— Właśnie...
Milczymy. „Czterydzieci, ty zawsze głuchy, nieruchomy — między światem a niebem”...

Przed nami kręty asfalt. Już tunel zieleni za nami. I za nami, daleko, na pięćdziesiątym kilometrze od Symferopola pozostały ostatnie słupy przydrożne sprężnięte ponad jezdnią stalowymi linkami, dźwigającymi trolleybusową sieć przewodów. Jeszcze „tylko” czterdzieści cztery kilometry i trojleybusy krążyć będą między Symferopolem a Jałtą.

Zjeżdżamy w dół, aż w uszach szumi, jak przy podchodzeniu samolotu do lądowania. W dole połyskuje gniewnie zbalwanione morze.

— Alusza — brzmi znowu szeptem z tyłu.

Aha. „A kędy w wodach skała przegląda się tusa, wre morze i odparte — z nowym szumem pędzi; w jego szumach gra światło, jak w oczach tygrysa, sroższą zwiastując burzę...”

Czekam na Kostię. Powinien przecież powiedzieć, że nasz narodowy poeta Mickiewicz jeden ze swych krymskich sonetów poświęcił Aluszcze.

Kostia uparcie wpatruje się we wstęgę szosy.

— Nieszczęście. Zgubiłem wizę!

— Nie może być, żartujesz!

Nie żartowałem. Nawet dokładnie pamiętam, gdzie była. W notatniku, pod ostatnią kartką. Jeszcze zasypiając wbiłem sobie w głowę, by zaraz rano sprawdzić, czy tam tkwi. Nie ma jej.

— Trzeba natychmiast działać! — zdecydował Kostia.

Poszliśmy na śniadanie.

Staram się odtworzyć w pamięci moment, gdy widziałem wizę w notatniku po raz ostatni. To było, tak, podczas zjazdu w dół, od Czterydzieci do Aluszczy. Nad morzem widać było Górę Niedźwiedzia, a mijany zakręt zwał się Marusynim.

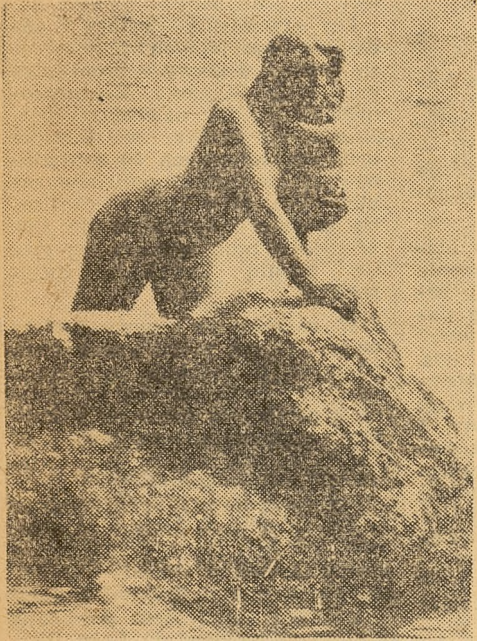
— Znaczą — konkludował Kostia — zgubiłeś ją w samochodzie. Idziemy na auto-stację!

Na stacji nie było ani wazy, ani ZIM-a, który nas tu, do Jałty, przywiózł wczoraj wieczorem...

Czarne Morze wali w kamienne, wysokie wybrzeże bulwaru jałtańskiego. Bryzgi fal przeskakują kamienne balustrady i rozpryskują się u stóp oczarowanych kuraćjaszy. Po drugiej stronie — na molo — dwa czarne trójkąty: sztorm.

Naraz natykamy się na cerkiewkę. Piękna, fryzowana rzeźbami, pękata kopułami wież, bieluteńko — złota. Cerkiew Aleksandra Newskiego.

Cichutko wślizgujemy się do wnętrza, mijamy dwie w przedśrodku stareńkie babuleńki. Już słychać zawodzące „hospodi pomyłuj”. Drżące głosy starców. Bogato złożone odrzwia zamykające wstęp ku ołtarzowi, pop-celebrans w złocistych, szatach, chwytne płomyki świec, blask elektrycznych kinkietów, a jednak pół-



Rzeźba przedstawiająca rusalkę

mrok. I to zawodzące „hospodi pomyłuj” stareńki śpiewane głosami. Jest pustawo jakoś, przejmująco, dziwnie.

Wychodzimy tak cicho, jakeśmy weszli. Stareńkie babuleńki w przedśrodku ani nie otworzyły przymkniętych powiek. Naraz znaleźliśmy się w pełni jaskrawości południowego słońca.

Wracamy na bulwar. Tu jest morze. Morze bije wściekle w skalisty, wysoki brzeg, na którym przycupnął taras zastawiony stolikami.

— Słuchaj, Kostia, pojedziemy przez Bachczysaraj?

— Tak, w drodze powrotnej do Symferopola, jutro.

— Wiesz, bo...

— Wiem — urywa Kostia — Wasz narodowy poeta, Mickiewicz...

— Ech, nie! Myślałem akurat o balecie Asafiewa.

Popijamy znakomity „Narzan”, wodę mineralną o rzadkim smaku.

— Kapaliście się? — to pod adresem nowopoznanych, przy sąsiednim stoliku.

— Naturalnie. Pogoda była wspaniała!

— Była... — wzdycha Kostia i obydwoj mimo woli spoglądamy ku rozbrykanemu morzu. Zawiodło nas — co zrobić?

Nowopoznani: ona i on. Jutro już wyjeżdżają do domu. Koniec urlopu.

— Daleko?

— Do Mińska...

Oho! Wy z Mińska?

— Ostatnio, to jest od ślubu...

Tak. Ona — Sybiraczka, on — z Ałmaty. Pobrali się i osiedlili w Mińsku.

— Żadnemu nie będzie żal! — śmieje się ona.

Śmiejemy się i opowiadamy przygodę w kijowskiej taksówce. Wróciliśmy z teatru, gdy Kostia spytał jak mi się podoba Kijów. Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy włączył się do rozmowy kierowca.

— Et, tam Kijów... — burknął lekceważąco — Leningrad to miasto! Rozumiecie: Nowa, Newski Prospekt, Ermitaż...

Kostia przerwał mu potok słów pytaniem:

— A wy, zapewne, Leningradczyk?

— Ma się rozumieć!

— A u nas, w Kijowie, dawno?

— Czwartego dnia — odrzekł taksówkarz i śmiał się już razem z nami.

Przepiękny widok. Stoimy u stóp pałacu Woroncowów, tego samego, w którym rezydował w czasie jałtańskiej konferencji w 1945 roku Winston Churchill. Dziś mieści się w pałacu galeria sztuki.

Przed nami, na pierwszym planie — smukłe cyprysy, rozłożyste platany. Potem spadająca ku wodzie, utrzymana w ryzach ogrodniczej kultury zieleni. I — morze. Czarnomorskie pobrzeże z jałtańskim zakolem w oddali.

Za plecami mamy marmurowy rząd schodów, których granitowe pobocza zdobią lwy — robota włoskiego mistrza: lew śpiący, lew budzący się, lew powstający i lew ryczący. Schody wiodą ku wiernej kopii bachczysarajskiej fontanny...

A ponad tym wszystkim — wydaje się tuż, tuż — potężny skalny złom Aj-Pietri, najwyższego szczytu południowego wybrzeża Krymu.

Szatańskie pomysły lubią legnąć się w najmniej odpowiednich momentach:

— Ty wiesz, Kostia, wasz narodowy poeta, Puszkina...

— Wiem: epigram na hrabiego Woroncowa. Czekał!

Kostia przybiera teatralną pozę i wykrzykuje w stronę pałacu:

„Oto późniuk, późbohater
I półszubrawiec na dodatek!
Lecz co do tego — jest nadzieja,
Ze będzie żywym na ostatek!”

I nagle rechoczymy tak głośno, że aż świegocząca przed chwilą ptaszyną poderwały się do lotu, spłoszone.

Następnego wieczora myszkujemy po auto-stacji symferopolskiej. Wiemy już wszystko: że kierowca ZIM-a o numerze rejestracyjnym 0645, który nas wiozł do Jałty, nazywa się Kosenko, a naczelnik dworca autobusowego — Kogar. Wiemy także, iż w i z y n i e m a!

Kapitan Janin z IV oddziału miejskiej milicji symferopolskiej przyjął nas i nasze oświadczenia z należytą wyrozumiałością: — Znajdzie się — powiedział. — Jesteś li, oczywiście, ją zgubiliście...

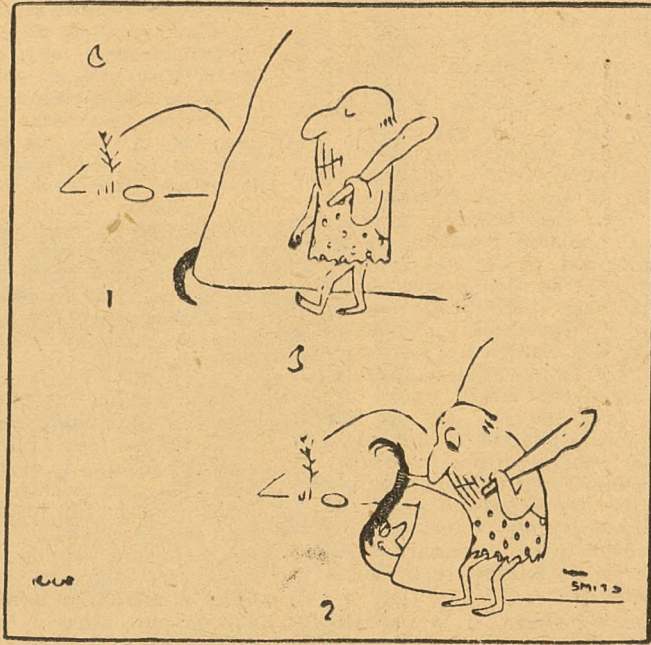
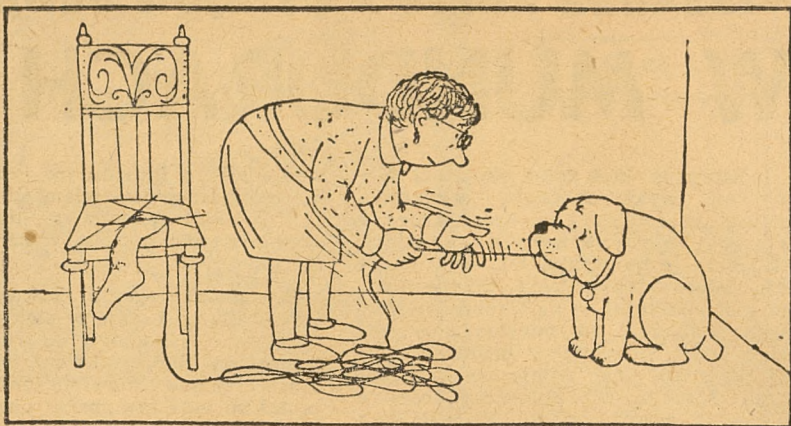
Diabelska, przeklęta wiza — stwierdziliśmy to naocznie już w Kijowie po powrocie — leżała sobie najspokojniej na dnie walizeczki, pozostawionej w hotelowej przechowalni. Tkwiła — rzeczywiście — pod ostatnią kartką notatnika. Tylko tyle, że nie ten notatnik uwiozłem ze sobą na Krym.

Kostia, porwawszy nieszczęsną a odnalezioną wizę z moich rąk wykonał przepisywany piruet i orzekł:

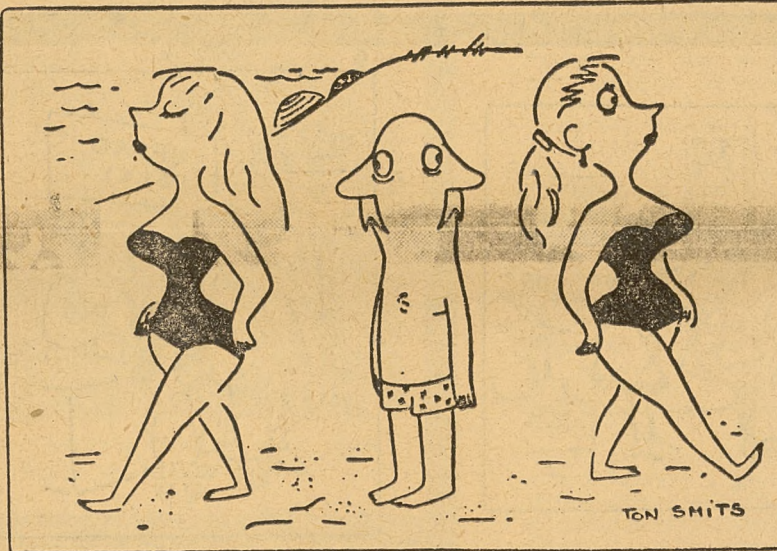
— Trzeba natychmiast działać!

Po czym poszliśmy na kolację.

I nadaliliśmy po drodze depesze do kapitałana Janina w Symferopolu. Tekst był bardzo krótki: „Oczywiście nie zgubiłem, dziękuję”.



HUMOR BEZ SŁÓW



— Tak byliby najlepiej.

„CZERWONA REKA”

Sensacyjny artykuł odśladający kulisy działalności bandyckiej organizacji pozostającej na usługach francuskich kolonizatorów, zwalczających algierski ruch narodo-wyzwoleńczy.

„Ostatnie ostrzeżenie! Kończ z tym śmierzącym interesem — w przeciwnym razie poniesiesz konsekwencje!”

Otto Schlueter, 37-letni właściciel Sporting Goots Company, najlepiej prosperującej hurtowni sportowej broni i amunicji w Hamburgu przez chwilę wpatrywał się w trzymaną w rękę małą trumienkę z miętaturowym kościotrupem. Do żeber kościotrupa przywiązana była kartka z wypisaną na maszynie treścią ostrzeżenia. Otrzymał to w porannej poczcie.

Po chwili namysłu wrzucił makabryczną przesyłkę do kosza. Od pewnego czasu ostrzegano go, by przestał dostarczać broń i amunicję dla algierskiego F.L.N.

W kilka dni potem, późnym popołudniem 28 lutego 56 roku Schlueter miał konferencję z dwoma przybyszami z Bremy. Większość pracowników opuściła już budynek. Tylko w magazynie kilku pracowników układało świeżo przysłany transport. Zauważono tam też 62-letnią matkę Schluetera.

Nagle o godzinie 19.18 cały budynek zatrzęsł się. Mury zaczęły się walić. Potężny wybuch rzucił meble na ulicę. Nad ruinami unosiły się kłęby pyłu. Pięć osób zostało rannych. Jeden z robotników zmarł w drodze do szpitala. Pozostała czwórka, w której była też i matka Schluetera, spędziła kilka miesięcy w szpitalu. Jedynie człowiek, na którego robiono zamach, wyszedł cało.

Policja stwierdziła, że wybuch spowodowa-

ła bomba zegarowa umieszczona w gaśnicy przeciwpożarowej. Portier zeznał, iż na krótko przed wybuchem dwóch ludzi wносиło coś, co mogło być gaśnicą. Kim oni byli i kto ich nasał, nigdy nie dowiedziano się.

Policja głowiła się jeszcze nad rozwiązaniem zagadki, gdy po raz drugi gazety napisały o Otto Schlueterze.

3 czerwca 1957 roku o godzinie 8.15 rano Schlueter wraz z matką wsiadł do stojącego pod domem wielkiego czarnego „Mercedesa”. Gdy nacisnął starter, nastąpił wybuch pod maską silnika. Podmuch wyrwał prawe drzwi i dach wozu. Odłamki bomby rozleciały się we wszystkich kierunkach. Nieprzytomna stara pani Schlueter konała w samochodzie. Sześciolatnia córka Schluetera Ingeborg stojąca w progu domu została lekko raniona. Tylko Schlueter po raz drugi został nietknięty.

W okresie między tymi dwoma zamachami Schlueter zrobił kilka transakcji. 6 maja 57 roku otrzymał od szefa Narodowej Policji w Tunisie 15.720 funtów szterlingów a od dyrektora Marokańskiej Narodowej Służby Bezpieczeństwa 8.500 funtów szterlingów za dostarczone karabiny maszynowe, karabiny, granaty i amunicję. Z tego też powodu francuska terrorystyczna organizacja „Czerwona Ręka” działająca na terenie Afryki i mordująca tam przywódców ruchów wolnościowych przerzuciła swą działalność na teren Europy, a właściwie do NRF, gdyż przeważnie stąd szły dostawy broni dla powstańców.

Według oficjalnych wypowiedzi francuskich „Czerwona Ręka” jest fantazją, bajką, wymysłem dziennikarzy żądnych sensacji.

Tymczasem „Czerwona Ręka” nie jest bynajmniej fantazją. Przeszłość ma tak samo

MŁODOCIANI W USA

Przestępczość wśród młodzieży w Stanach Zjednoczonych wzrosła w latach 1948 — 1958 o 185 proc. Szczególnie krytyczna jest sytuacja w Nowym Jorku. Najpoważniej wzrosła ilość przestępstw, bo aż o 35 proc. popełnionych przez młodzież w wieku od 10 do 17 lat. Członek podkomisji prawnej senatu — senator Hennis podkreślił, że przestępczość wśród nieletnich wzrasta nie tylko „statystycznie”, lecz również jeśli chodzi o „powagę i brutalność dokonywanych przestępstw”.

STARY NAWYK NIE RDZEWIEJE

„Powinniśmy wznowić loty wywiadowcze. Powinniśmy również zmienić ustawę o energii atomowej w tym kierunku, by nasi alianci europejscy mogli mieć własne środki

ZBERZENIA

odstraszania. Francuzi, Niemcy (zachodni) i Anglicy powinni zostać zaopatrzeni w broń atomową”. (Przedstawiciel Pentagonu w wywiadzie udzielonym US NEWS AND WORLD REPORT”).

OPAMIĘTANIE

„Narody pławiące się w dobrobycie wtedy dopiero zaczynają myśleć o swojej odpowiedzialności za nędzę krajów zacofanych, gdy ich własna gospodarka domaga się natychmiastowej ekspansji”. („FOR-TUNE” — tygodnik amerykańskiej wielkiej finansjery).

TURYŚCI RADZIECCI

W bieżącym roku turyści radzieccy udadzą się do 50 krajów. M. in. odwiedzą oni Tunis, Maroko, Sudan, Nepal, Gwinea, Syjam, USA, Japonię, Chiny, Indonezję, Indie, Cejlon, Grecję, Włochy, Turcję.

Współczesny turysta, oczywiście ten z odpowiednio łożonym trzosem, gdyż taki liczy się jedynie w wielkiej turystyce, pragnie nie tylko podróżować w jak najbardziej komfortowych warunkach lecz również mieszkać możliwie jak najwygodniej w hotelach, w których zatrzymuje się na krótko. Stąd hotele we wszystkich stronach świata to prawdziwe pałace z bajki, w których pobyt nawet krótkotrwały daje pełną satysfakcję. Są to zwykle olbrzymie gmachy, liczące od kilkuset do dwu tysięcy pokoi. Niemal regułą jest dzisiaj, że z każdym pokojem połączona jest oddzielna łazienka a telefon, aparat radiowy i telewizyjny to tak nieodzowne sprzęty jak szafka nocna, fotel czy stół. Ściany, sufity, drzwi są wyłożone materiałem nie przepuszczającym dźwięków i hałasów z zewnątrz. Pokoje są ogrzewane ciepłym powietrzem sączącym się z niewidzialnych otworów. Na poszczególnych piętrach hotelu znajdują się jadalnie, kawiarnie, czytelnie, bary.

Ogromną wagę przywiązuje się do obsługi hotelowej. Na wszystkich stanowiskach od naczelnego dyrektora aż po numerowe mogą pracować jedynie ludzie, którzy przeszli odpowiednie przeszkolenie. Na całym świecie istnieje szkolnictwo hotelarskie szkolące na średnim poziomie niższych funkcjonariuszy a w szkołach wyższych zorganizowanych niejednokrotnie w samodzielnym wydziale uniwersyteckie przyszłych dyrektorów hoteli.

Ojcem nowoczesnego hotelarstwa amerykańskiego jest Statler

DOKTOR WSZECH NAUK HOTELARSKICH

zwany królem hotelowym. Doprowadził on sprawność obsługi w swych licznych hotelach do perfekcji. Głośny był regulamin, który ułożył dla służby hotelowej. Tylko ci, którzy stosowali się w pełni do tego regulaminu, mogli się utrzymać na stanowiskach. Sądzimy, że warto przytoczyć kilka ciekawszych punktów z tego regulaminu:

„Nasz hotel w pierwszym rzędzie przeznaczony jest dla wygody naszych gości; bez gości hotel by nie istniał”.

„Wobec tego funkcjonariusze hotelu winni traktować gości z należytą im kurtuazją i uwagą. Zaden z funkcjonariuszy, któremu brak zrozumienia lub taktu w wykonywaniu powyższych wskazań, nie może liczyć na dłuższe pozostawanie na stanowisku”.

„Nowi klienci są tyleż warci, co dawni: zapamiętaj to sobie: gość dobrze obsłużony wróci ze swoją żoną, rodziną i przyjaciółmi”.

„Nie zadzieraj nosa, nie bądź opryskliwy, ani sżywny — gość płaci tobie również, jak ja. On jest twoim bezpośrednim dobroczyńcą”.

„Niech każdy gość czuje, że za swoje pieniądze lepiej jest obsłużony, niż w każdym innym hotelu”.

„Nie mów, że dana potrawa jest dobrze podana, kiedy gość znajduje ją złą. W tym wypadku ma on rację. Ma rację również, jeżeli twierdzi, że podałeś mu sos odmienny od obstalowanego, lub że „piccolo” źle go obsługuje, lub że obiad obstałował do swego pokójku na tę godzinę lub że napój nie był dostatecznie zamrożony. Gość ma zawsze rację”.

„Zaden funkcjonariusz nie ma przywileju spierania się z gościem w jakiegokolwiek kwestii. Obowiązkiem jego jest załatwienie sprawy ku pełnej satysfakcji gościa. Na spory miejsca w hotelu nie ma”.

Zasady Statlera przejęli jako powszechnie obowiązujące wszyscy przedsiębiorcy hotelowi na całym świecie. Obsługa hotelowa w Polsce nie dorównuje w manierach, uprzejmości obsłudze hoteli Paryża, Moskwy czy Londynu. Początkiem zwrotu na lepsze są dwie szkoły wyższe w Krakowie i Warszawie kształcące nowe kadry, które mają sprostać

najwyższym wymaganiom w tym zakresie.

W ciągu czerwca odbył się w Krakowie pierwszy egzamin końcowy po dwu latach nauki w Wyższej Szkole Hotelarskiej. Na końcowym egzaminie, któremu przysłuchiwał się z ramienia redakcji „Zdarzeń” piszący te słowa, wymagano wiedzy turystyczno-hotelarskiej, znajomości dwu języków obcych, orientowania się w sprawach organizacyjnych, w zagadnieniach kulinarnych. Absolwenci przeszli gruntowną praktykę nie tylko w najlepszych hotelach polskich, lecz w kilku wzorowo prowadzonych tego rodzaju placówkach za granicą. Pierwszych 29 absolwentów odznacza się wysoką kulturą osobistą, dużym obyciem, łatwością operowania obcymi językami.

Podczas egzaminu padały między innymi takie pytania:

— Na czym polega kultura hotelowa i turystyczna?

— Co to jest międzynarodowy klucz telegraficzny?

— Reise und Touristenburos in Polen.

— Zagadnienie łazienek w hotelach.

— Co to jest menu a la carte.

W miarę jak wyższe szkoły hotelarskie będą wypuszczaly nowe kadry kwalifikowane, nastąpi poprawa obsługi w obecnie istniejących i nowopowstających hotelach. Dopiero wtedy będziemy mogli powiedzieć, że jesteśmy przygotowani do przyjmowania coraz nowych rzesz turystów.

SEP

ROZSADNE HOBBY WIELKICH GWIAZD

Prasa całego świata poświęca wiele uwagi Sofii Loren, której skradziono w Londynie biżuterię wartości 260 mln franków. W ten sposób jedna z najsłynniejszych aktorek ekranu utraciła całą fortunę, która miała zabezpieczyć jej przyszłość. W ciągu dziesięciu lat swej błyskotliwej kariery wkładała swe olbrzymie dochody w kupno rubinów, pereł, diamentów i szmaragdów, z którymi nie rozstawała się ani na chwilę. Pozostała jej tylko słubna obrączka. Loren była na tyle nieostrożna że nie ubezpieczyła swych klejnotów.

Sofia Loren nie była wolna od obaw, jakie trapią nawet najsłynniejszych artystów: utraty popularności. Publiczność jest przecież kapryśna i ma zmienne gusty. Jeśli artysta nie potrafi zabezpieczyć sobie przyszłości, końcowe lata jego życia bywają nieraz tragiczne. Rudolf Valentino nie mógł wydobyć się z długów do końca życia. Gloria Swanson była zmuszona podjąć się w sześćdziesiątym roku życia ciężkiej pracy, aby zdobyć kawałek chleba. Henry Garat, który nakręcił 60 filmów, odbył podróże po całym świecie w luksusowym aucie, jachcie i samolocie, umarł samotnie w szpitalu opuszczony przez wszystkich.

Pomni tych tragicznych losów wielkich gwiazd współcześni artyści filmowi zabezpieczają sobie przyszłość w rozmaity sposób. Jean Gabin posiada np. fermę z 400 krowami, którą odwiedza dwa razy w tygodniu. Wkłada wtedy saboty i stoje się razem z współpracownikami. Jeszcze bardziej praktyczny jest Eddie Constantine, który hoduje na swej fermie 25 okazowych świń, setki kurcząt oraz królików selekcyjowanych. Kury znoszą mu dziennie 1200 jaj. Constantine lokuje pieniądze również w koniach wyścigowych czystej krwi oraz w obrazach najsłynniejszych malarzy. Michele Morgan zakupiła kilka luksusowych mieszkań w centrum Paryża, umeblowała je i wynajmuje za ciężkie pieniądze. Część kapitału włożyła w klinikę położniczą. Dużą dozę sprytu wykazuje Brigitte Bardot, która przy pomocy swego ojca znanego przemysłowca ulokowała swe oszczędności w parcelach, w samoobsługowych restauracjach i snack-barach. Gdyby zgodziła się firmować swym nazwiskiem faszerowane kurczęta lub kanapki, podwoiłaby swą fortunę.

Inaczej urządził się Yves Montagne, który kupił dom dla rodziców, rozbudował swój dwór w departamencie Eure oraz gra na giełdzie. Martine Carol przepada za futrami i biżuterią, część jednak swej fortuny ulokowała w plantacji oliwek. Wielkim kolekcjonistą okazał się Tino Rossi, który zebrał w swym marmurowym pałacu w Ajaccio kolekcję pamiątek po Napoleonie i starych bibelotów z kości słoniowej. Duży majątek ulokował w obrazach Picassa, Van Gogha, Renoira i Bernarda Buffeta. Bourvil (znany z filmów Cadet Roussel oraz Trzej Muszkieterowie) nie nosi nigdy przy sobie pieniędzy, które powierza swemu impresario pani Trives. Kapitał lokuje w pastwiskach i zbożu. Jest właścicielem ziemi w Normandii.

Najbardziej praktyczni okazali się aktorzy amerykańscy, którzy wytyczyli kierunek plejadzie artystów jeśli chodzi o zabezpieczenie zarobków. Najbogatszym z nich jest Bing Crosby. Jego fortuna wynosi dziś 6 miliardów dolarów. Swe dochody umieścił w fabryce lodów, w stacjach radiowych, w firmie realizującej filmy dla telewizji, w fabryce koszul, fabryce zabawek, w wytwórni płyt gramofonowych, w zakładzie produkującym soki owocowe, w szybach naftowych w Texasie oraz w specjalnym towarzystwie „Crosby Investment Corporation” gdzie akumuluje gotówkę z myślą o sześcioru swych dzieci. Gary Cooper jest właścicielem pięknej bajkowej ranczy. William Holden oczarowany pięknem Azji, gdzie przebywał podczas nakręcania filmu „Most na rzece Kwai”, zakupił stację radiową w Hong-Kongu pragnąc przekształcić ją w stację telewizyjną. W Kenii wybudował luksusowy hotel.

Nie wszyscy jednak aktorzy są tak rozsadni i oszczędni. Wielu z nich upojonych powodzeniem nie myśli o jutrze. Marlena Dietrich wydaje garściami pieniądze na prezenty dla przyjaciół i na własne toalety. Jedynie w czasie ostatniego pobytu w Paryżu zostawiła około 10 milionów franków u Balmain'a i Balenciaga. Rekordy rozrzutności pobija Edith Piaf. Nie posiada nawet pierścienia kosztowniejszego. Nie wystarała się dotychczas o własne mieszkanie, zadowalając się wynajmowaniem mieszkań, w których zawsze pełno przyjaciół i znajomych. Na całym świecie posiada protegowanych i wychowanków, którym zawsze śpieszy z pomocą. Taka gospodarka powoduje, że nigdy nie ma pieniędzy. Nawet w chwilach swej największej popularności, gdy zarabiała fantastyczną sumę 1.200.000 franków za występ, była zmuszona sprzedać swą wille, by pokryć bieżące długi.

Większość jednak aktorów myśli poważnie o przyszłości. Aktorzy umierający w niedzy w przytulkach, przeszli do legendy. Nowego aktora filmowego cechuje chłód i rozsadek, który każe mu zabezpieczać interesy. Współcześni aktorzy to prawdziwi businessmeni. Sofia Loren była zbyt mało doświadczoną. Całą fortunę umieściła w klejnotach nie ubezpieczając ich do tego. Wzosiła je z sobą, nosiła na sobie, drząc wiecznie o nie. Piękna biżuteria przypominała jej sławę i powodzenie, pozwalała zapomnieć o dawnych ciężkich dniach. Za brak doświadczenia zapłaciła drogo.

Opracowała: an-he



BOHATERSKA STARUSZKA
Kiedy 84-letnia Szwedka Ida Karlsson (na prawo) zauważyła tonącą w rzece 81-letnią (na lewo) Hedwig Alen, pospieszyła jej na ra-

tunek rzucając się bohatersko w nurty rzeki. Niebezpieczeństwo zagrażające obu staruszkom skończyło się szczęśliwie. Obie panie zawarły dożgonną przyjaźń.

CIERPKIE URZĘDOWANIE

Ostatnie dni urzędowania japońskiego premiera Kishi nie należały do przyjemnych. Na zdjęciu widzimy policję strzegącą swego premiera w porze nocnej.



„CZERWONA RĘKA”

krwawą jak i teraźniejszość. Jej początki można znaleźć w latach 1951/52 w okresie walk przeciw francuskim rządom, gdy Tunis i Maroko były protektoratami.

Im żywiej rozwijała się walka powstańcza, tym brutalniej zachowywali się członkowie „Czerwonej Ręki”.

W dniu 3 grudnia 1952 roku na naradzie wojennej, w której brało udział kilku francuskich pułkowników oraz trzech wysokich stopniem oficerów policji, postanowiono zamordować w stylu „Czerwonej Ręki” przywódcę tunezyjskich związków zawodowych Ferhat Hacheda. Nim Ferhat Hached został zabity, otrzymał szereg ostrzegawczych anonimów. Wszystkie były oznaczone czerwonym odciskiem dłoni. 5 grudnia w czasie jazdy samochodem z domu, znajdującego się poza miastem, do biura w centrum Tunisu, został ostrzelany kulami z karabinu maszynowego z przejeżdżającego samochodu. Mordercy nigdy nie znaleźiono. Policja postarała się, aby zatrzyć wszelkie ślady.

Z Tunisu, gdzie do 1953 roku „Czerwona Ręka” dokonała 72 morderstw, akcja przeniosła się do Maroka.

Najbardziej sensacyjne było morderstwo Francuza Jacques Lemaigre-Dubreuil, wydawcy poważnej gazety „Maroc-Presse” wychodzącej w Casablance. Przyczyną morderstwa były jego liberalne poglądy. „Egzekucji” dokonano w klasyczny sposób, stosowany przez „Czerwoną Rękę”, 11 czerwca 1955 roku, gdy wracał z pracy, samochód jego został wyprzedzony przez wielkiego „Chevroletta”, z którego posypały się serie z broni maszynowej. Lemaigre-Dubreuil został trafiony przeszło 20 kulami. Zabójca musiał być świetnym strzelcem. Podejrzewano, iż był to członek sił policyjnych.

Działalność „Czerwonej Ręki” na terenie Maroka skończyła się, gdy Maroko uzyskało niepodległość. Część tajnych agentów i policjantów francuskich została aresztowana. Między nimi znajdował się inspektor policji z Casablanki Jean Viari. Miał on przydomek „Zabójca”. Zdobył go w szeregu morderstw i okrucieństw, jakimi kierował i w których brał czynny udział. Przez władze marokańskie został skazany na śmierć, jednak zdołał zbiec. Od tego czasu stał się najczynnijszym członkiem „Czerwonej Ręki” w Europie.

Na liście międzynarodowych sprzedawców broni skazanych przez „Czerwoną Rękę” na śmierć oprócz Otto Schluetera znajdowali się jeszcze Georg Puchert oraz Norweg Ragan R. Lie.

Georg Puchert był typem bohatera powieści awanturnych. W roku 47 osiadł w Tangerze, największym centrum przemytniczym. W krótkim czasie stał się komendantem floty przemytniczej złożonej z pięciu jednostek. Jego „flagowym okrętem” był „Marco Polo”. Zajmował się przemytem amerykańskich papierosów do Włoch i Francji. Poza tym robił wszystko, co przynosiło jakiś profit. W roku 57 przerzucił się wyłącznie na dostawę broni dla powstańców algierskich. Francuski wywiad szybko się o tym dowiedział. Już 20 maja 57 roku dwa statki Pucherta „Bruja Roja” i „Sirocco” wyleciały w powietrze w tangierskim porcie. Robota została wykonana przez pletwonurków.

W roku 1958 rząd powstańców algierskich powierzył Puchertowi organizację dostawy broni. W zamian za to miał otrzymać udział w eksploatacji ropy naftowej na Saharze. W niedługim czasie zaczął otrzymywać anonimowe ostrzeżenia.

6 grudnia 1958 roku we Frankfurcie na ulicy zaczepiło go dwóch mężczyzn, z których jeden mający szramę na twarzy, o imieniu Pedro, dał mu — jak to nazwał — „ostatnie ostrzeżenie”. Puchert przyrzekł zaprzestania swej akcji. Jednak już następnego dnia poprosił Algierczyków o osłonę.

W styczniu 1959 roku przypadkowo natknął się w nocnym klubie bońskim „Igel-Bar” na Pedra. Wraz z tym bandytą były jeszcze dwie znane postacie: Jean Viari, były inspektor policji francuskiej w Casablance oraz młody, przystojny Korsykanin Christian Durieux. Puchert wiedział, że cała trójka należy do „Czerwonej Ręki” polującej na niego.

27 lutego 1959 roku kompletnie wyczerpany nerwowo Puchert wysłał krótką wiadomość do Abdel-Kader Noassri, Algierczyka z którym się kontaktował:

„Jestem bardzo niespokojny. Śledzą mnie. Miałem dziś niemiłe przejścia. Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć”.

W trzy dni potem zrobił fatalny błąd. Tak sam jak i Schlueter. Będąc chorym nie odprowadził wieczorem swego wozu do garażu, lecz zaparkował przed domem. Następnego dnia rano szybko wskoczył do wozu, nacisnął starter i... wyleciały wszystkie szyby w okolicy. W płataninie żelastwa — we wraku samochodu — konał Puchert.

Drużyna część pt. „Kulis samobójstwa generalnego prokuratora Szwajcarii — Rene Dubois” — w następnym numerze.

opracował

JAN GADKOWSKI

W 1991 roku skończyłem techniczną ucze-
nię i od razu zacząłem pracować jako tech-
nik-specjalista sfinks-elektronowych lamp w
kompanii statków kosmicznych. Bardzo lu-
biłem te obrzydliwe wznoszące się z potęż-
nym rykiem w górę, w kierunku Łabędzia lub
na przykład Alfa-Centaura. Byłem wów-
czas — jak to się mówi — młodym człowie-
kiem z przyszłością. Miałem przyjaciół a na-
wet znajome dziewczynki i z pracy byłbym
całkowicie zadowolony. Lecz istniało pewne
„ale”, na które trudno było zaradzić; nie mo-
głem pracować normalnie przy tej zawrotnej
ilości ukrytych aparatów fotograficznych
skierowanych na mnie. Wskutek ich nieprzer-
wanego mrużenia nie mogłem się skupić. Za-
cząłem składać zażalenia do departamentu
bezpieczeństwa wewnętrznego.

Z czasem tysiąc innych drobiazgów zaczy-
nało mnie wyprowadzać z równowagi. Ot, na
przykład magnetofon zainstalowany w moim
televizorze. Ci wałkonie z FBR w żaden spo-
sób nie mogli go wyregulować prawidłowo,
huczał całym nocami.

Zaawidcjonowany byłem jako podejrzany
18-D w jednej rubryce z wiceprezydentem,
co dawało mi prawo znajdowania się pod
częściowym nadzorem. Ale mój osobisty
szpieg uważał się prawdopodobnie za aktora
filmowego, gdyż zjawiał się nie inaczej jak
w podniszczonym płaszczu i ziówrogo nasu-
niętym na oczy kapeluszu. Chudy, nerwowy,
po prostu deptał mi po piętach w obawie, by
nie stracił mnie z oczu.

Koniec końców zaczęło mnie to nudzić: zaw-
sze razem nierzadko bliźniaki syjamskie. Moi
przyjaciele zarykiwali się do łez, gdy poja-
wiałem się taszcząc go za sobą jak na linie
holowniczej.

Moja dziewczyna żaliła się że na sam jego
widok dostaje drgawek. Poszedłem więc do
komisji śledczej.

Wszystkie te, jakby się wydawało, drobiaz-
gi działały mi straszliwie na nerwy, a prze-
cież każdy psycholog wam powie, że nie trze-
ba nic nadzwyczajnego aby doprowadzić
człowieka do postradania zmysłów. Wówczas
to przyszedł mi na myśl daleki Kosmos. Tam
rozpociera się miliardy mil kwadratowych
pustki usianej niezliczoną ilością gwiazd.
Tam z pewnością znajdzie się i miejsce dla
mnie.

Wszystkie moje oszczędności poszły na za-
kup używanego, pospiesznego statku kosmicz-
nego. Staruszek przepuszczał ten przez
wszystkie szwy, a jego chorobliwie czujny ko-
ciot atomowy i niezrównoważone lewarki ste-
rowania mogły w każdej chwili wyrzucić
nieprzejmonego psikusa. Byłem jednak gotów
na wszystko.

Zgromadziłem wszystko co trzeba: paszport,
niebieskie zaświadczenie, czerwone zaświad-
czenie, dowód rejestracji, tabletki przeciwko
chorobom kosmicznym, dokument o odszczu-
rzeniu. W biurze otrzymałem resztę mego
uposażenia i pokiwalem ręką osieroco-
nym kamerom fotograficznym. Na ulicy uści-
snąłem rękę biednemu szpiegowi i życzyłem
dalszego powodzenia.

Tak więc spaliłem za sobą mosty. Miałem
jeszcze tylko otrzymać ostateczne zaświad-
czenie w związku z czym udałem się do od-
powiedniego urzędu. Urzędnik ze śladami
opalenizny od lampy kwarcowej na twarzy,
spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Miejsce przeznaczenia? — zapytał.
— Kosmos — odpowiedziałem.
— To jasne. Pytam o miejsce, gdzie mia-
nowicie?

— Ja jeszcze nie wiem — odpowiedziałem.
— Po prostu Kosmos, daleki Kosmos, wolny
Kosmos.

— Nie nadąża pan za życiem — odpowied-
ział z poczuciem pobłażliwej wyższości urzę-
dnik. — Stany Zjednoczone ogłosiły swoje
prawa na przestrzeni między koordynatą
2-XA a D2 B₁ z wyjątkiem niedużego i sto-
sunkowo nieciekawego segmentu, do którego
pretenduje Meksyk. Posiadłości ZSRR znaj-
dują się między H3D a LO2. Prócz tego ist-
nieje terytorium belgijskie, chińskie, cejloń-
skie, nigeryjskie...

W tym momencie przerwałem mu.
— A gdzie jest Kosmos niezawisły?
— Taki nie istnieje.

— Jak to, całkiem nie istnieje? Gdzież w
takim razie kończą się granice terytorialne?
— W nieskończoności! — wymówił uroczy-
ście.

Pod moimi nogami zachwiała się na chwilę
podłoga. Nigdy nie przychodziło mi do głowy,
że każda okruszynka nieskończonego wszech-
świata stanowi czyjaś własność. A zresztą,
dlaczegożby nie miało tak być? Ostatecznie
musi do kogoś należeć!

Dobrze. Udaję się do amerykańskiego Kos-
mosu — oświadczyłem nie zastanawiając się
dłużej.

Urzędnik posępnie kiwnął głową. Zbadał-
szy skrupulatnie moje ankiety od piątego ro-
ku życia począwszy — wystawił mi ostatecz-
ne zaświadczenie.

W porcie kosmicznym mój samolot był got-
ów do lotu. Potrafiłem tak się oderwać od
ziemi, że nie uszkodziłem żadnej lampy. Ale
dopiero gdy ziemia przeobraziła się w ledwo
dostrzegalny punkcik a po chwili zniknęła
całkiem z oczu, zrozumiałem, że jestem wre-
szcie sam.

Pod koniec drugiej doby podróży kontro-
lując swoje zapasy zwróciłem uwagę na dość
osobliwy kształt jednego worka z warzywami.
Po rozwiązaniu go okazało się, że za-
miast stu funtów ziemniaków znajdowała się
w nim młoda niewiasta.

Patrzyłem na nią nie będąc w stanie wy-
mówić ani jednego słowa.

— No, — odezwała się — może pan pomo-
że mi jakoś się wydobyć z tego wora? Chy-
ba, że ma pan zamiar pozostawić mnie w tym
opakowaniu i zapomnieć o całym incydencie?

Pomogłem wyostać się jej z worka.

Była to szczuplutka (w każdym razie tam
gdzie trzeba) dziewczyna z rudymi włosami
koloru płonącego ogona rakiety, z zamyślo-
nymi oczyma i śladami brudu rozmazanego
na zuchwałej twarzy.

— Proszę mi powiedzieć, jak się pani tu
dostała?

— Dążę do swobody — wyrzekła. Mój
psychiatra oświadczył, że nie nadają się do
współczesnego życia. Ziemia wysuszyła moją
duszę — nie mogłam już dłużej ścierpieć tej
obrzydliwej organizacji, potwornej dyscypli-
ny, wyrzeczeń, „zimnej wojny”, „gorącej
wojny”... Zapraǳełam tak bardzo śmiać się
bez troski, biegając po zielonych łąkach, wa-
łęsając się bez celu po ciemnych lasach, śpie-
wać na cały głos...

— Ale dlaczego wybór pani padł na mnie?
— Po prostu dlatego, że pan się wybierał
na poszukiwanie swobody — odpowiedziała.
— Ale mogę sobie pójść, skoro pan nalega..

Biorąc pod uwagę nasze miejsce położenia,
było to dość absurdalne oświadczenie. A tra-
ca

ROBERT
SHECLY

ROMANS W KOSMOSIE

cić paliwo na drogę powrotną nie miałem po-
 prostu ochoty.

— Może pani pozostać — oświadczyłem
wopaniatoomyślnie.

— Dziękuję panu — wymówiła z przeję-
ciem. — Widzę, że pan rzeczywiście mnie
rozumiał.

— Tak, tak oczywiście, lecz na samym po-
 czątku musimy ustalić pewne rzeczy. Po
 pierwsze...

Ale dziewczyna z uśmiechem zaufania na
 ustach spała już na moim łóżku.

Natychmiast zbadałem zawartość jej toreb-
 ki. Znalazłem w niej pięć gatunków pomadek
 do ust, puderniczkę, flakon perfumy „Venus
 V”, tom wierszy w papierowej oprawie i zna-
 czek z napisem „Agent FBR do spraw spe-
 cjalnych”.

No cóż, byłem nawet lekko wzruszony tak
 daleko rozciągającą się troską mego rządu. W
 każdym bądź razie nie czułem się już tak
 samotnie w Kosmosie.

Mavis O'Day — tak się nazywał mój
 szpieg — przygotowywała posiłki, wykony-
 wała nieskomplikowane obowiązki gospodyni
 i ustawiała po kątach nieduże aparaty foto-
 graficzne. Nasz statek kosmiczny drżał pod
 wpływem ich brzęczenia, ale ja udawałem,
 że nic nie dostrzegam.

Podróż przebiegała całkiem pomyślnie,
 powiedziałbym nawet szczęśliwie, do momentu
 gdy nastąpiło pewne wydarzenie.

Drzemałem spokojnie za pulpitem sterowa-
 nia, gdy nagle pokazał się oślepiający blask
 z prawej strony dziobu statku. Mimo woli
 odchyliłem się do tyłu i zwałem przy tej

— Nie martw się o niego, moje dziecko.
 — Na miłość boską proszę mi wybaczyć, że
 tak po prostu wdarem się do was...

Pies Fliker podniósł na mnie swoje wil-
 gotne, podłużne oczy. Dałem psu rozmoczony
 w mleku kawałek chleba, a chłopcu sand-
wich z orzechowym masłem.

Zasiadłem do sterowania, uruchomiłem
 statek i włączyłem aparat wewnętrznej łącz-
 ności.

— Obudź że się, ty bałwanie nieszczęsny!
 — usłyszałem głos Mavis.

— Proszę mi nie przeszkadzać w spaniu.
 — Obudź się, mówię! Opowiadaj natych-
 miast, po co komisja kongresu do badań uzna-
 ła za stosowne wysłać cię tutaj? Czyż ona nie
 wie, że tą sprawą zajmuje się FBR?

— Podejrzany został przeniesiony do ka-
 tegorii 10-F — odpowiedział małeć i teraz
 przysługuje mu stała obserwacja.

— Przecież ja się tu znajduję — zawołała
 Mavis.
 — Tak, ale pani ze swego poprzedniego za-

PRZEŁOŻYŁ
M. KUPLOWSKI

danía nie wywiązała się jak należy — odrzekł.
 Proszę mi wybaczyć, miss, ale względy bez-
 pieczeństwa przede wszystkim.

— Więc oni postanowili wysłać ciebie —
 — już łkając ciągnęła Mavis. — Ciebie, dwu-
 nastoletnie dziecko!

— Za cztery miesiące ukończę trzydzieści.
 — Tak, tak, dwunastoletnie dziecko! A ja
 tak się starałam. Uczylałam się, czytałam książ-
 ki, uczęszczałam na kursy wieczorowe, cho-
 dziłam na odczyty...

— Ciężka sprawa — współczująco odпові-
 dział chłopiec.

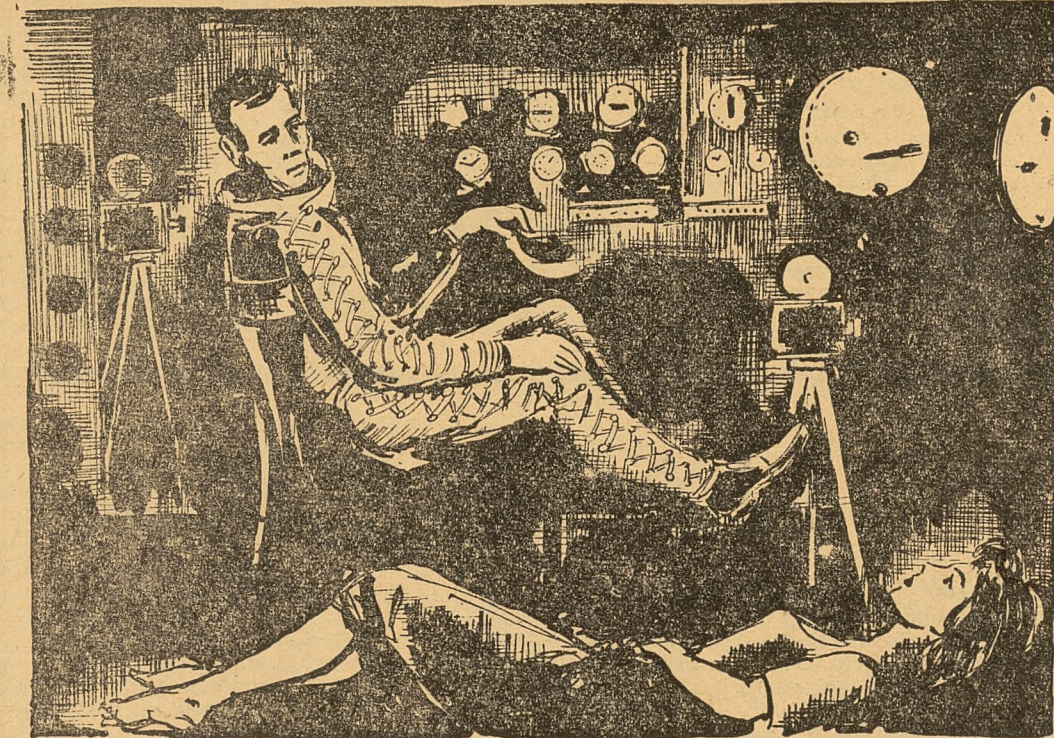
Włączyłem aparat. Cóż, mogłem być dum-
 ny: obserwowałam mnie stale aż dwóch szpie-
 gów. Oznaczało to, że reprezentuję sobą isto-
 tę, która wymaga stałego nadzoru.

Pomyślnie dobiliśmy do końca drogi. Młody
 Roy — tak zwano chłopca — wziął na
 siebie sterowanie statku, a jego pies z po-
 ważną miną zasiadł obok.

Znaleźliśmy niezamieszkałą planetę typu
 ziemskiego, która podobała się Mavis dzięki
 swoim niedużym rozmiarom, przyjemnym wi-
 dokom, zielonym łąkom i cienistym lasom, o
 których czytała w wierszach.

Młody Roy przejawiał niezwykle zaintere-
 sowanie do zwierząt domowych, które przy-
 wiozłem w lodówce, a obecnie rozmroziłem i
 ożywiłem. Natychmiast mianował się Głównym
 Stróżem krów i koni, Najwyższym Opie-
 kunem kaczek i gęsi oraz Szeferem kur i świń.
 Nowe obowiązki pochłaniały tyle czasu, że
 swoje raporty do senatu wysyłał coraz rza-
 dziej, a wkrótce przestał wysyłać w ogóle.

Zaprowadziłem inspekty i zasiałem kilka



RYŚ. JÓZEF SZWANEC

okazji z nóg Mavis zmieniającą nowy film w
 aparacie fotograficznym nr 3.

Pomogłem jej stanąć na nogi. Na jedną
 chwilę ta czarująca istota znalazła się cał-
 kiem blisko mnie, podniecający zapach „Ve-
 nus V” drażnił moje nozdrza, serce zaczęło
 walić z zastraszającą siłą.

— Czy nie uważa pan, że należałoby mnie
 już puścić? — zapytała.

— Tak, tak, oczywiście — wyrzekłem nie
 przestając tulić jej do siebie. Resztki pano-
 wania nad sobą opuściły mnie: Mavis, poz-
 naliśmy się całkiem niedawno, lecz...

W zawrotnym olśnieniu całkowicie zapo-
 mniałem o charakterze naszych stosunków,
 stosunków panujących pomiędzy podejrzanym
 a szpiegiem. Trudno przewidzieć, co byłbym
 jeszcze napłócił, ale w tej chwili pojawił się
 drugi wybuch tuż przy naszym statku. Pu-
 cilem Mavis i rzuciłem się w kierunku le-
 warków. Zahamowawszy statek wyglądałem
 na zewnątrz. W bebrzeżnych przestrzeniach
 Kosmosu dojrzałem jedyny kawałek granitu,
 na którym siedział chłopczyk w skafandrze.
 W jednej ręce ścisnął pudełko z raketami sy-
 gnałowymi, w drugiej trzymał psa również
 ubranego w skafander.

Szybko wciągnęliśmy go do wnętrza.

— Mój pies...

aków ziemi, po czym z Mavis zaczęliśmy ro-
 bić dalekie wycieczki do szumiących lasów i
 zielonych pól. Razu pewnego urządziliśmy
 piknik i rozłożyliśmy się z naszym śniada-
 niem w pobliżu malutkiego wodospadu. Roz-
 puszczone włosy Mavis spadały łagodnie na
 plecy, a jej błękitne oczy spoglądające na
 mnie były zamglone i rozmarzone. Przy tym
 wszystkim tak nie była podobna do szpiega,
 że zmuszony byłem raz po raz przypominać
 sobie o sytuacji, w której znaleźliśmy się.

— Bill — zagadnęła po chwili.

— Co?

— Nie, nic. — Jej palce uporczywie targa-
 ły trawę.

Nie mogłem zrozumieć, co chciała przez to
 powiedzieć. Ale jej ręka znalazła się przy mo-
 jej, nasze palce spotkały się. Milczenie prze-
 ciągało się przez kilka minut. Nigdy w życiu
 nie byłym tak szczęśliwy.

— Bill?

— Tak.

— Bill, mój drogi, gdyby pan tylko mógł...
 W tej samej chwili ogłuszający ryk motorów
 przerwał ciszę: prosto na nas spadł gwałtownie
 statek z nieba.

Pilot Eddie Wallace okazał się siwowłos-
 ym starcem w podniszczonym płaszczu i gło-
 boko nasuniętym na oczy kapeluszu. Przed-
 stawił się jako agent firmy „Hydro” zajmują-

cej się chlorowaniem wód w przestrzeni mię-
 dzyplanetarnej. Ponieważ jego usługi były dla
 mnie zbędne, przeprosił i postanowił natych-
 miast nas opuścić, co jednak nie było mu
 sądzone. Motor jego statku dokonał jednego
 obrotu i zdecydowanie umilkł.

— Ach, jakie to straszne! — wybełkotał. —
 Wydał mi się, że będę zmuszony zatrzymać
 się u was. Nie mogę pojąć, jak się to mogło
 stać.

— To istotnie niezrozumiałe. Nie mogła
 przecież nawalić lampa tylko dlatego, że ja
 pan podpiłował ręczną piłką — rzuciłem na
 odchodne: podczas przeglądu silnika nie prze-
oczyłem bowiem całkiem niedwuznacznych
 śladów piłki.

Mister Wallace udał że nie słyszy.

Tego wieczoru podfuchałem jego raport
 nadawany przez międzyplanetarne radio
 funkcjonujące zresztą bez zarzutu. Miejscem
 jego pracy okazało się nie „Hydro”, lecz Cen-
 tralne Biuro Wywiadu.

Z pana Wallace'a zrobił się doskonały ogro-
 dnik, pomijając już to, że przeważnie mysz-
 kował dokoła z notesem i aparatem fotografi-
 cznym w rękę.

W międzyczasie nasza malutka osada roz-
 kwitła. Wkrótce zaczęli przybywać nowi go-
 ście. Najpierw wylądowało małżeństwo z O-
 kręgowego Biura Wywiadu, które przedsta-
 wiło się jako sezonowi robotnicy zbierający
 owoce. Za małżeństwem zjawily się dwie pa-
 nienki — tajne przedstawicielki Informacyj-
 nego Biura Wykonawczego, za nimi — młody
 reporter, rzeczywisty wystawnik Ajdakskiej
 rady do spraw ochrony moralności międzypla-
 netarnej. W chwili odlotu u wszystkich nawa-
 lała niezawodnie sfinks-elektronowa lampa.

Nie wiedziałem, czy mam się cieszyć czy
 też smucić. Za mną śledziło pół tuzina szpie-
 gów. Ale, niestety, wszystkim im daleko było
 do pierwszej rangi. Po kilkutygodniowym po-
 bycie na mojej planecie każdy z nich pogra-
 żał się po uszy w sprawach gospodarki rol-
 nej i zapomniał o swoich zasadniczych obo-
 wiązkach.

Pewnej feralnej nocy wśród moich szpie-
 gów wybuchło niezwykle zdenerwowanie.
 Wydało mi się, że otrzymali jakiś ważny ko-
 munikat. Wszystkie odbiorniki pracowały go-
 rączkowo, tak że zmuszony byłem poprosić
 kilku szpiegów o wspólne korzystanie z jed-
 nego odbiornika, aby zapobiec spaleniu się
 moich generatorów. Następnie szpiegzy wyła-
 czyli odbiorniki i rozpoczęli naradę. Ich
 wzburzone szcypy nie pozwalały mi usnąć
 prawie do świtu. Rano spotkałem wszystkich
 w pokoju gościnnym z ponurymi, wydłużo-
 nymi twarzami. Mavis odezwała się pierwsza.

— Stało się wielkie nieszczeście — zwróci-
 ła się do mnie. — Ale na wstępie, Bill, mu-
 simy uchylić rąbką tajemnicy. My wcale nie
 jesteśmy tymi ludźmi, za których nas pan u-
 waża. Wszyscy jesteśmy państwowymi szpie-
 gami.

— Nie może być! — zawołałem (nie chcia-
 łem dotknąć ich ambicji).

— Niestety, to prawda — powiedziała —
 szpiegowaliśmy pana, Bill.

— Ależ to niemożliwe — powtórzyłem. —
 Nie wyłączać nawet pani, Mavis?

— Nie wyłączać nawet mnie? — powie-
 działa z żalosnym wyrazem twarzy.

— Ale teraz wszystko skończone! — rąbnął
 młody Roy.

— Co się stało?

— Bill, podczas ostatnich badań okazało się,
 że ta część Kosmosu nie stanowi własności
 Stanów Zjednoczonych.

— Czyjaż ona jest w takim razie? — zapy-
 tałem.

— Cały ten sektor został przez pomyłkę
 opuszczony podczas międzynarodowego po-
 działu Kosmosu, tak że właściwie każdy kraj
 może zgłosić do niego swoje prawa. A ponie-
 waż pan jako pierwszy zajął tę część Kos-
 mosu, wynosząc kilka milionów kwadrato-
 wych mil, należy ona do pana.

Wstrząśnięty nie mogłem wymówić słowa.

— Z tego powodu — ciągnęła Mavis — na-
 sze pełnomocnictwa przestają być ważne i
 musimy niezwłocznie odlecieć.

— Ale w jaki sposób potraficie odlecieć? —
 zawołałem — przecież nie wymienięm wam
 zepsutych sfinks — elektronowych lamp?!

— Wszyscy posiadamy zapasowe lampy —
 odrzekła miękko.

Obserwując jak wszyscy wlekli się do swo-
 ich statków, myślałem o czekającej mnie sa-
 motności. Nigdy więcej nie będę mógł odczuć
 na sobie czujnego oka mego rządu. Wieczora-
 mi nie usłyszę więcej za sobą kroków, nie
 odwrócić się i nie zobaczę skupionej twarzy
 szpiega.

A mimo to ich los był jeszcze smutniejszy.
 Ci biedni starający się, niezgrabni, nieudolni
 szpiegzy musieli wracać do świata gwałtownej
 i energicznej konkurencji. Gdzież oni
 znajdą jeszcze takiego podejrzanego jak ja i
 takie spokojne miejsce jak moja planeta!

— Żegnaj, Bill — powiedziała Mavis.

Gdy zobaczyłem, że Mavis skierowuje swe
 kroki do statku mr Wallace'a uświadomiłem
 sobie nagle, iż ona przestała już być moim
 szpiegiem.

— Mavis! — zawołałem i rzuciłem się w
 pogoń.

Szybko kręczyła w kierunku statku. Chwy-
 ciłem ją za rękę.

— Proszę poczekać, Mavis... Już dawno
 chciałem pani powiedzieć... jeszcze wówczas
 na statku... a następnie na pikniku...

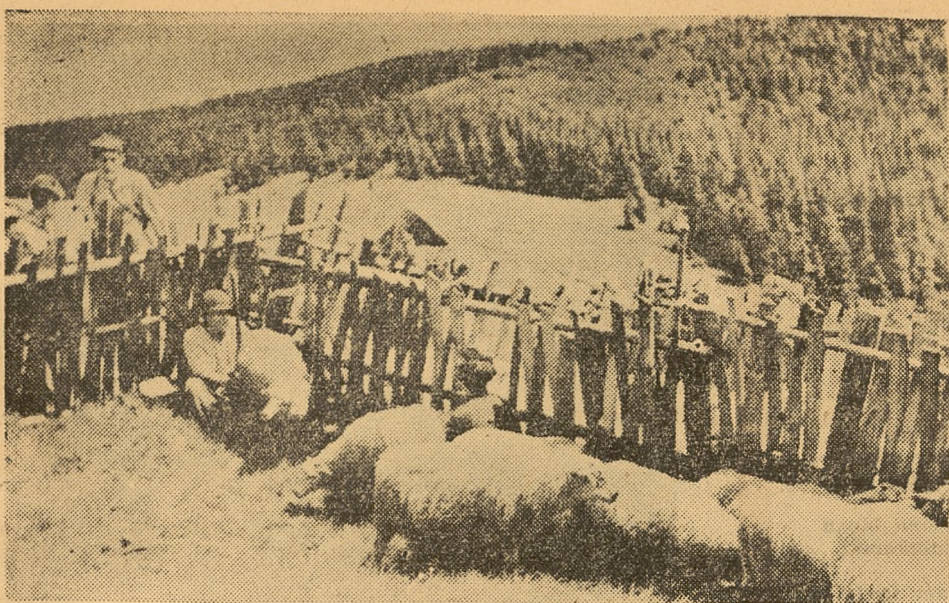
Mavis próbowała wyrwać się z moich rąk.
 Ale wówczas jakimś skrzeczącym, wcale nie
 romantycznym głosem zawołałem:

— Mavis, kocham panią!

Poczułem ją w moich ramionach. Z rado-
 ści nie mogła wymówić żadnego słowa.

Kiedy młody Roy dowiedział się, że Mavis
 zostaje, postanowił również nie odlatywać.
 Warzywa mr Wallace'a zaczęły właśnie doj-
 rzewać, a Wallace tak pragnął osobiście do-
 glądać je. Zresztą u każdego znalazły się ja-
 kieś sprawy, których nie można było rzucić
 na los szczęścia.

W rezultacie zostałem królem, rozkazodaw-
 cą, dyktatorem, prezydentem, słowem — wszy-
 stkim. czymkolwiek bym się nie nazywał.



OCENA ZDJĘĆ

Powyżej reprodukowujemy zdjęcie nadesłane na Konkurs przez p. **ANDRZEJA MOSKWIAKA**, Kraków, Batorego 15 B/10 zatytułowane „Południowy udój”. Autor uchwycił charakterystyczną scenkę w górach. Przypatrujący się udojowi harcerz podkreśla wakacyjność zdjęcia. Osoby zajęte przy udoju winny znajdować się na pierwszym planie.

ZYGMUNT PERYT, Zakopane, Chałubińskiego 6a. Nadesłane zdjęcie nie łączy się tematycznie z konkursem. Może ma Pan coś lepszego? Pamiętajmy doskonale zdjęcia z poprzednich konkursów.

HENRYK WOJNAR, Rzeszów, ul. Obr. Stalingradu 43c. Obydwa zdjęcia odpowiadają warunkom Konkursu. Bardzo bezpośrednio — „spotkanie”. Oczywiście może Pan nadesłać dalsze prace.

JÓZEFA STUSIO, Kłodzko, ul. Połabska 15, m. 20. Techniczne zdjęcia bardzo słabe. Tematycznie zbyt rodzinne.

ADAM WOŁOSZYN, Brzeszcze, pow. Oświęcim. Ma Pan rękę, techniczne wykonanie przekreśla wartość skąd inąd dobrych zdjęć. Najciekawsze „przyrzeczenie”.

ANDRZEJ KOSIOR, Lubaczów. Dobry obrazek z dziećmi ciągnącymi wózek. Drugie natomiast mało zrozumiałe.

KRYSTYNA MNICH, Kraków, ul. Stachowicza 14/10. Zdjęcie „przy studni” najlepsze. Szkoda tylko, że ułożone. Zdjęcie z zoo technicznie najlepsze.

MALGORZATA DYLLA, Bytom, Bieruta 30/2. Jak na początki, bardzo udane prace. Ma Pani wyczucie krajobrazu, który nie łatwo fotografować. Szkoda tylko, że brak ludzi. Fakt wykonywania powiększeń we własnej ciemni jest dowodem poważnego traktowania fotografii. Prosimy o dalsze prace.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Każdego 1 i 15 wyjeżdżają na wczasy dziesiątki tysięcy osób z dworców. Pan Jerzy Pokornik z Krakowa przysłał nam zdjęcie obrazujące scenę pożegnania na dworcu krakowskim.



POCZTA „ZDARZENIA”

DR KRYSTYNA TOMASIK. Istotnie zdarza się często, że piosenka z ostatniej strony pokrywa się z krzyżówką ze strony 9-tej. W miarę możliwości będziemy starali się spełnić Pani prośbę, by mogła Pani przysłać rozwiązanie krzyżówki i nie niszczyć piosenki. Zależne to jest od materiałów oraz ich rozkładu na obu stronach.

CZYTELNICZY z Alei 29 Listopada w Krakowie, **KAMIŃSKI**, Rzeszów, **WIKTORIA MIRGA**, Nowa Huta. Prośby o wydrukowanie piosenek „Mały kwiatek”, „Płacz moje serce”, „Zakochani”, „Złoty

pięściółek katarzyniarza” przekazaliśmy naszemu współpracownikowi, który będzie czynił starania, by uzyskać teksty tych piosenek.

LESZEK MICHAŁSKI, Krzeszowice. Nie znaleźliśmy piosenek cowbojskich w sprzedaży. Należałoby drogą korespondencyjną z rówieśnikami amerykańskimi zdobyć teksty i nuty.

Gdzie jechać na wczasy
P. Jan Widomski ze Skrzydziej w pow. limanowskim pisze do nas, że posiada dwa wolne pokoje do wynajęcia po niskiej cenie. Dom położony w

pięknej okolicy. Dzieci p. Widomskiego, jako dorosłe nie mieszkają już z nim i dlatego może odnajdą te pokoje. Osobom zainteresowanym odpowie listownie.

EUGENIUSZ PASŁACZ, Dąbie k. Dębicy pow. Mielec. Podajemy adres technikum budowlanego. Nowa Huta, Leńskiego 10, Technikum Budowlane Zaoczne.

STANISŁAW LASZCZAK, Bijaków 54, pt. Kęty. Wysyłka nut zajmuje się Księgarnia Wysyłkowa Wydawnictwa Muzycznego, Kraków, Rynek Gł. 25

POLECAMY • POLECAMY Anegdoty teatralne

Aktor i milioner

ALFRED LIGOCKI: Cézanne. U źródeł rewolucji w plastyce. Warszawa 1960, Wydawnictwo Arkady. Cena 60 zł.

Nazwisko Cézanne'a wiąże się nierozdzielnie z wszystkimi istotnymi cechami wielkiej rewolucji plastycznej. Należy on do tych rzadkich w historii sztuki twórców, których wielkość nie opierała się tylko na zaletach formy i treści ich dzieł, ale przede wszystkim na tym, że twórczość ich otwiera nową epokę.

WŁADYSŁAW WITWICKI: Przechadzki ateńskie. Warszawa 1960. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, cena 25 zł.

Autor odbył w r. 1957 podróże do Grecji, z której zrodził się cykl niezapomnianych pogadek radiowych. Po tych prelekcjach ukończonych w marcu 1939 r. wydawnictwo „Rój” zaproponowało wydanie książkowe „Przechadzek”. Drukowi przeszkodziła wojna. Rękopis „Przechadzek ateńskich” wraz z 10 barwnymi ilustracjami na dużych kartonach i teką szkiców rysunkowych robionych w Atenach, chociaż blisko pół roku przeleżał w czasie powstania w piwnicy spalonego i częściowo zburzonego domu — na szczęście ocalał.

DYMITR MAMIN - SYBIRIAK: Milionowy spadek. Państwowy Instytut Wydawniczy, cena 22 zł.

Akcja tej powieści toczy się na Uralu w połowie XIX wieku, w środowisku właścicieli hut i kopalń złota. Ciekawa intryga, wplecione w nią wątki miłosne, bogata galeria typów ludzkich — na tle jednej z najciekawszych epok, pełnej sprzeczności społecznych — sprawiają, że tę powieść czyta się z dużym zainteresowaniem.

ANATOL FRANCE: Czerwona Illia. Czytelnik, 1960, cena 22 zł.

„Miłość jest jak pobożność: przychodzi późno. Nie kocha się i nie jest się pobożnym mając lat dwadzieścia, chyba że ma się szczególne do tego skłonności rodzaj świętości wrodzonej. Kobiety przeznaczone do tego losu długo walczą przeciw owej łasce miłości, straszniejszej niż piorun, który uderzył na drodze do Damaszku. Kobieta najczęściej ustępuje wobec namiennej miłości w wieku, gdy samotność już nie przeraża.”

TOMASZ MANN: Wybraniec. Czytelnik, 1960, cena 22 zł.

To jedno z ostatnich dzieł wielkiego pisarza. Temat do swej opowieści zaczerpnął autor ze średniowiecznego eposu o świętym grzeszniku, zrodzonym z kazirodczego związku i po wielu latach pokutniczego żywota powołanym na tron papieski.

W opowieści tej splatają się elementy średniowiecznej grozy i miłosnego poematu, subtelnej ironii i głębokich rozważań filozoficzno-moralnych.

A KOZACZYŃSKI: Zielony furgon. Czytelnik, 1960, cena 12 zł.

To znakomite opowiadanie detektywistyczne. Celny, zaprawiony humorem obraz Odessy w burzliwym okresie pierwszych lat, porewoluacyjnych trafnie skreślone sylwetki bohaterów i zwarty, pełen ekspresji język czynią z tej książki nader interesującą lekturę.

GUENTHER CWOJDRAK: Remilitaryzacja literatury. Wydawnictwo Poznańskie, cena 8 zł.

KSIĄŻKI WYLOSOWALI

MARIA MROCZKO, Sanok, ul. F. Gieli 25

CZESŁAWA PILCH, Kraków, Pl. na Groblach 19/27

BARBARA SUŁOWSKA, Kielce, ul. Strycharska 16

CELINA BOROWIAK, Leszno Wkp., ul. Leszczyńskich 3/7

EDWARD MROCZEK, Darłowo, ZSRM, ul. Szpitalna 1, pow. Sławno woj. Koszalin

WANDA STEFANSKA, Luboń 1 k. Poznania, ul. Marchlewskiego 12

WINCENTYNA KOKESZ, Kraków, Szlak 30/7a

WŁADYSŁAW KRET, Katowice, ul. Gliwicka 14/29

BOGUMIŁA LESKIEWICZ, Kraków, ul. Siedleckiego 13/26

JAN KOZŁOWSKI, Kraków, ul. Orzeszkowej 6/10

POZIOMO: 1. pięć tuzinów, 5. największy z grzywni, zamieszkujący lasy nadwodne Ameryki Południowej, 13. imię żeńskie, 14. ptak śpiewający, 15. ziemia uprawna, 16. uliczne stoiska z towarami na sprzedaż, 17. zamek, 19. dawne lotnisko, dziś dzielnica Warszawy, 20. drzewko liściaste mające kwiaty w wiązkach, 22. kolor mlecznej kawy, 24. miara drogiej kamieni i pereł, 28. ogród owocowy, 29. rozsądne i stosowne postępowanie, 30. spółnik łączny, 33. koleżanka Ali z elementarza, 35. artystyczne wyroby z gliny nie pokryte szkliwem, 38. poemat epicki, epos, 39. biała niewolnica na Wschodzie, 40. kojarzy się z tablicą szkolną, 41. pracownik dróg żelaznych, 42. stary sprzęt domowy.

PIONOWO: 1. rodzaj dawnego luksusowego pojazdu, 2. duma pawiego rodu, 3. jest źródłem energii cieplnej, 4. dawny próbek do szorowania, 6. dokumenty urzędowe, 7. tytuł członka izby wyższej parlamentu Wielkiej Brytanii, 8. rzeka na zachodzie kraju, 9. pakunki podróżne, 10. wyspa przy zachodnim wybrzeżu Irlandii, 11. zdrobniałe imię żeńskie, 12. poeta i pieśniarz ludowy na Wschodzie, 18. produkt zbożowy, 21. tył konia, 22. atrybut woźnicy, 23. stałe miejsce pracy, 25. zegarek do mierzenia krótkich odstępów czasu z dokładnością do 1/10 sekundy, 26. dłużnik wekslowy, osoba, która ma zapłacić sumę weksla, 27. w języku łacińskim: wierze, 28. talerze u waci, 30. złoti czapkę wojskową, 31. jezioro

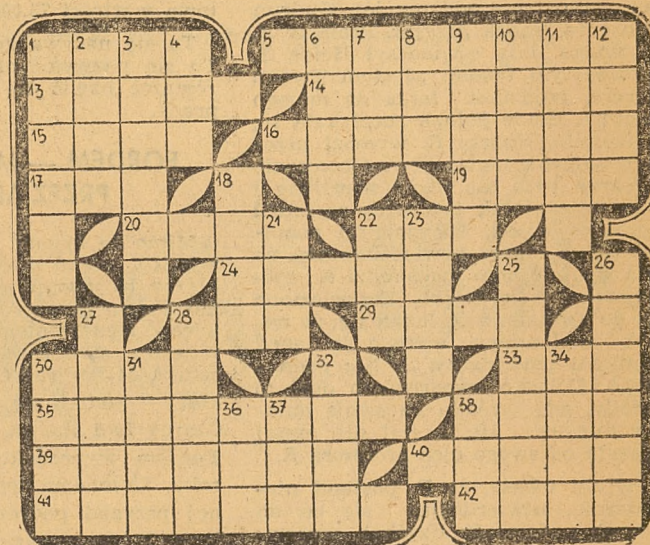
bezodpływowe w ZSRR, 32. marka polskich samochodów ciężarowych, 34. narzędzie do cięcia sieczki, 36. dłuższy patyk, 37. owad złośliwy, 38. jednostka pracy i energii.

Rozwiązanie Krzyżówki z nr 28

POZIOMO: 3. strona, 8. zakos, 10. sum, 11. rok, 12. salata, 14. ka-

napa, 16. Sudan, 17. fale, 19. na, 20. akr, 21. skaza, 23. norka, 26. kto, 28. pa, 29. zero, 31. anoda, 34. kapela, 35. galena, 36. oda, 37. ono, 38. udary, 39. narwal.

PIONOWO: 1. karafka, 2. lokal, 4. tras, 5. osada, 6. nuta, 7. amant, 9. konar, 13. luna, 15. peso, 18. sak, 22. kra, 23. Zaza, 24. stolarz, 25. nade, 26. kreda, 27. zagon, 28. polor, 30. epoda, 32. Nna, 33. Anna.



Co tydzień premie książkowe

Rozwiązania nadsyłać do dnia 20 VII 1960

„Zdarzenia”. Ilustrowany magazyn tygodniowy, Kraków, ul. Wielopole 1, III p., tel. 235-60 (centrala) i 202-13 (bezpośredni).

Redaguje zespół:

Naczelny redaktor Adam Hollanek.

Krakowskie Wydawnictwo Prasowe RSW Prasa, Kraków, ul. Wiślna 2. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł,

półrocznie 26 zł, rocznie 72 zł. Prenumeratę przyjmuje „Ruch”, urzędy pocztowe i listonosze. Zgłoszenia na prenumeratę zagraniczną przyjmuje „Ruch”, Warszawa, Wilcza 46.

E-19

CO TYDZIEŃ
PIOSENKA
POD REDAKCJĄ LEONA RZEWUSKIEGO

FILATELISTA MIMO WOLI

fokstrot

SŁOWA ZB. KASZKUR
MUZ. M. RADZIK

Nie miałem nigdy i nie mam teraz
 Żadnych skłonności kolekcjonera
 Filateliści zaś szczególnie śmieją
 mnie
 A jednak nagle pomimo wszystko
 Ja sam zostałem filatelistą.
 Znam się na znaczkach, jak nikt
 chyba nie zna się.
 Refren:
 Filatelistą mimo woli
 To właśnie ja, to właśnie ja.
 W tej roli miłość tak mnie szkoli
 Każdego dnia, każdego dnia,
 Bo miła z oczu błękitami
 Z włosami blond, z włosami blond
 Pracuje w kiosku ze znaczkami
 I znam ją stąd.
 Lecz tak naprawdę znam ją tylko
 trochę,
 Bo taka we mnie nieśmiała natura,
 Ze zamiast wyznać, że tęsknię, że
 kocham
 Ja mówię chciałbym trójkątny
 „Honduras”
 Filatelistą przypadkowy, co znaczki
 ma, co znaczki ma
 Lecz stracił serce oraz głowę
 To właśnie ja, to właśnie ja.
 II.
 Domyślny uśmiech mnie z kiosku
 wita,
 Gdy krążyć wokół jak satelita
 W wyznania czule formułując my-
 śli me,
 Lecz gdy podejść to nie inaczej
 Usta znów proszą o jakiś znaczek,
 Choć oczy mówią najwyraźniej:
 Kocham cię.
 Refren:
 Filatelistą mimo woli itd.

AKTUALNĄ PIOSENKĘ „ZDARZEŃ” NADAJE KRAKOWSKA ROZ-
GŁOSNIA POLSKIEGO RADIA W KAŻDĄ SOBOTĘ O GODZ. 18.00
ORAZ W KAŻDY PONIEDZIAŁEK O GODZ. 12.25



MODA

SENSACJE I SENSACYJKI

SERCE I PRAWO

W miasteczku Hanau pracował profesor R. w charakterze nauczyciela w szkole, do której uczęszczały jego trzy córki. W szkole tej uczyła się również Heide S., córka miejscowego mechanika. Pewnego dnia jedna z nauczycielek zauważyła ku swemu zdumieniu, że 13-letnia Heide jest niezwykle podobna do dwu córek profesora R., o czym nie omyślała zakomunikować ojcu. Profesor R. jako biolog od razu zdał sobie sprawę, że za tym faktem musi kryć się jakaś tajemnica. Natychmiast udał się do domu, w którym mieszkała Heide S. W czasie wizyty stwierdził, że jego trzecia córka Gudrun jest podobna do rodziców S., których córka Heide jest tak podobna do jego dwu córek. Idąc po nite do kłębka prof. R. dowiedział się, że p. S. leżała w tej samej klinice, w której rodziła jego żona. Okazało się po bliższych badaniach że porody Heide i Gudrun odbyły się podczas jednego z licznych nalotów, gdyż była to wojna. Zdenerwowana pielęgniarka zamieniła oboje dzieci.

Profesor R. zaproponował wymianę trzynastoletnich dziewczynek. Lecz małżeństwo S. oświadczyło: „kochamy naszą jedynaczkę ponad wszystko i nie oddamy jej. Gudrun możemy jednak przyjąć. Profesor R. pewnego dnia oświadczył Heide S. uroczystym tonem: „Jestem Twoim ojcem, pójdziesz teraz do mojego domu”. Heide jednak rozplakała się i uciekła. Uparty R. wymógł przeprowadzenie badań krwi. Orzeczenie lekarzy było dla niego pomyślne i sąd na wniosek profesora zarządził zamianę dzieci. Niewiele to pomogło. Gdy Heide dowiedziała się, że ma opuścić dom mechanika S., rozchorowała się ciężko. Przewieziono ją do szpitala, a R. łudził się, że pobyt w lecznicy wyrwie ją spod wpływu małżeństwa S. Nic podobnego. Dziecko wyzdrowiało dopiero wtedy, gdy wróciło na swoje dawne miejsce. Heide jest nie mniej uparta od swego ojca profesora R.

Wielu uważa, że R. postąpił niesłusznie, utwierdzając się co do swych podejrzeń. Uzyskał wprawdzie wyrok, zgodny z przepisami, lecz prawo nie zaspokoiło uczuć płynących z serca.

UCZTA — ZA CZYJE PIENIĄDZE?

Takich historii można by przytoczyć więcej. Każda z nich świadczyć mogłaby że są jeszcze ludzie na świecie, którzy w ciągu jednej nocy potrafią wydać więcej niż wynoszą kilkunastoletnie zarobki ro-

botnika. Nie wierzyć? Posłuchajcie.

Gdy córka amerykańskiego miliardera, króla samochodów, 18-letnia Charolla Ford obchodziła swe urodziny, tatuś jej — Henryk Ford wydał na przyjęcie ni mniej ni więcej jak 100 tysięcy dolarów.

Uroczystości urodzinowe przyjęcia odbywały się w gmachu ekskluzywnego Gross Point Country Club w Detroit. Gmach został przekształcony w prawdziwy „pałac z bajki”. Nim ściągnięto do niego ponad 1200 gości, pracowała nad jego dekoracją cała ekipa artystów plastyków sprowadzonych naturalnie z... Paryża. Przygotowania plastyczne trwały blisko 4 miesiące. Szczytem ekstrawagancji było skonstruowanie kopii jednego z zakątków pałacu wersalskiego. W tym celu sprowadzono samolotem francuskie kwiaty.

Tysiące dań, tysiące ciast, setki tortów, tysiące litrów szampana — oto skutki szerokiego gestu gospodarzy, u których robotnik pracujący przy taśmie nie ma czasu w ciągu całego dnia pracy na zapalenie papierosa.

Dobry tatuś Henryk sprezentował swej córce w charakterze urodzinowego upominku kołkę brylantową wartości 78.000 dolarów.

To się nazywa gest! Czy tylko? To się nazywa nie tylko życie ale również bawić się kosztem cudzej pracy.

FORDEM — MODEL 1934 PRZEZ AFRYKĘ

Mimo że żyjemy w drugiej połowie XX wieku mało jest śmiałości, którzy by podjęli się wyprawy samochodem przez Afrykę. Niemalym więc wydarzeniem było przedsięwzięcie szwajcarskiego historyka sztuki, 34-letniego Geralda Gauthey, który podjął się wyprawy przez Czarny Łądz starym, przedwojennym Fordem wyprodukowanym w 1934 roku. Uczonemu towarzyszy w pełnej przygodzie podróż młoda, ładna żona, która zapragnęła wraz z mężem studiować tajemnice Afryki — szczególnie ludową twórczość i ceramikę murzyńską.

Gauthey nabył swój wóz za 20 funtów. Małżeństwo dotarło w ciągu ostatnich sześciu miesięcy do miasta Salisbury w południowej Rodezji. Pragną oni przedłużyć swój pobyt na Czarnym Łądz jeszcze dwa lata. Mają nadzieję, że stary Ford będzie im w dalszej wyprawie wiernie służył.

FAKTY I CIEKAWOŚCI

KARIERA OKOCIMSKIEGO

Najbardziej popularne za granicą wśród smakoszy są piwa okocimskie i żywieckie. Potwierdziły to Targi Poznańskie, na których cudzoziemcy specjalnie tymi dwoma gatunkami interesowali się.

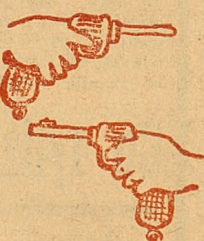


MECHANICZNI PRZEWODNICY

Władze watykańskie postanowiły wprowadzić na okres igrzysk olimpijskich w Rzymie do 16 tuższych kościołów płyty z nagraniem objaśnieniami. Płyty zastąpią więc przewodników. Nagrania będą w pięciu językach.

UWAGA ZNAWCY... POJEDYŃKÓW

W jednym z numerów londyńskiego Timesa z czerwca 1960 roku czytamy: „Znawcy pojedynków (tylko pistolety) pilnie poszukiwani. Niepotrzebni teoretycy. Konieczna znajomość praktyczna. Wiek obojętny.



RENTGEN — DETEKTYW

Każdy człowiek ma inne kości rąk i przegubów. Rentgenując więc rękę można zidentyfikować każde-

go. Metoda ta jest lepsza niż stosowana dotychczas powszechnie metoda identyfikacji przy pomocy odcisków palców.

SINATRA W NRF

Do zachodniego Berlina przybył na gościnne występy Franc Sinatra. Oto rozmówka, jaką miał z zachodnio-niemieckim reporterem: „Czy mogę zapytać, co sprowadziło pana do zachodniego Berlina?” — „Samolot”. „A co pan chce tu robić?” — „Kupić miasto”. — „O, to wielka rzecz. Ile pan zapłaci?” — „Trzy centy”. — „Jak się panu podobają tujsze dziewczęta?” — „Nie pański interes! Dziennikarz odziedzi jak zmyty.

ZNOWU O PALACZACH

Amerykańskie Stowarzyszenie dla choroób serca ogłosiło ostatecznie, że śmiertelność z powodu ataków serca u mężczyzn palących papierosy — w średnim wieku jest o 50 — 150 procent wyższa niż u niepalących.



WAŻNE KRAWATY

U nas, do niektórych lokali rozrywkowych wstęp dla panów pozbawionych krawata jest wzbroniony. Wielkim zwolennikiem krawatów jako nieodłącznych atrybutów kultury jest przewodniczący włoskiej izby deputowanych. Gdy podczas jednej z oficjalnych uroczystości minister finansów zjawił się bez krawata — przewodniczący ofiarował mu natychmiast specjalnie przygotowany egzemplarz.

Miała to być nauczka dla wszystkich osobistości politycznych Włoch.



NOWY WYNALEZEK

Cały świat naukowy zainteresował się radzieckim wynalazkiem. Jest to metoda pozwalająca szybko i łatwo określić ilość białka w moczu, oraz w organizmach. Uczeń Kesunin i Koniow zbudowali mały instrument, którego działanie polega na następującej zasadzie. Pod wpływem ultrafioletowego promieniowania biał-

ka świecą. Światło to niewidzialne gołym okiem — staje się widzialne dla oka uzbrojonego w specjalne uranowe szkło. Jasność świecenia białek jest mierzona błyskawicznie przez komórkę fotoelektryczną i pozwala określić ilość białka w danej substancji.

KOLOROWE MIĘDZYWODZIE

Wybierający się na wczasy do Międzywodzi (niedaleko Międzyzdrojów) będą mile zaskoczeni szeregiem dziwnych kolorowych domków campingowych. Domki te powstały z przerobionych starych karoserii autobusowych. Pomysł: Miejskie Przedsiębiorstwo Autobusów w Warszawie.



OWADY GROŹNE

Jak podaje biuletyn ONZ owady niszczą około 20 proc. światowej produkcji artykułów konsumpcyjnych. Likwidacja groźnych szkodników przyniosłaby dodatkowe 750 milionów podstawowych racji żywnościowych.



PEDANT

pasta luksusowa do obuwia

PEDANT

pasta luksusowa do podłóg

POLYSK

zaprawa do podłóg

poleca

Spółdzielnia Pracy Chemiczno-Szklana

„BARWA”
Kraków,
Rynek Gł. 33